

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 23-go września 1944r.

Rok VI. Nr. 38

„TU BIJE SERCE POLSKI...”

W dzień imienin Króla, 8 maja 1791 r., Warszawa tonęła w świątłach, dając wyraz uczuciom radości, wywołanym uchwaloną dnia 3 maja konstytucją.

Zrodziła się konstytucja z ducha Warszawy, który wytworzył i narzucił sejmowi odpowiednią atmosferę. Ten wpływ stolicy na opinię publiczną wystąpił z siłą zaraz po pierwszym rozbiórce w r. 1772. W Warszawie propagowano rozwój nauk i kultury, wydając wojnę ciemności i zabobonom. Tu zrodziły się hasła gospodarczego podźwignięcia kraju i jego uprzemysłowienia. Warszawa wystąpiła także z mocnym żądaniem reform społecznych i politycznych. Tu wydawano pamflety, broszury, pisma, nawołujące do zmian. Tu wystąpiono w obronie człowieka i równości praw, podniesiono sprawę miejską i wiejską.

Ten żywy strumień, przewijający się poprzez Kuźnię Kółtająowską, Komisję Edukacji Narodowej, Obiady Czwartkowe u króla Stanisława Augusta, organizację wielkich domów bankowych Teppera czy Potockiego, budowę Łazienek, Frascati i t.p., pociągnął za sobą cały kraj i nakazał tworzenie nowych form życia.

Nie cofała się Warszawa i przed rzuconiem groźby sferom kierowniczym. Taką właśnie groźbą, która wywarła ogromne znaczenie, była słynna „czarna procesja”, mieszczańskich z prezydentem Dekertem na czele, zapowiadająca rewolucję, jeśli sejm nie podejmie haseł wysuniętych przez stolicę.

W ogniu tych namiętnych poczynań i dyskusyj, sejm czteroletni uchwalił reformy majowe. Wejście ich w życie, a więc zapoczątkowanie nowej jasnej ery Rzeczypospolitej, świętowane było uroczystością przez ludność Warszawy, świadcząc, iż przyjęła je gorąco i stać będzie na ich straży.

Obca przemoc wojskowa przekreśliła ustawę majową, nie zdołała jej jednak wydrzeć z duszy Warszawy.

„ŚWIĘTA RESUREKCJA”

Z powstającym brzańskim Wielkiego Czwartku, dnia 18 kwietnia 1794 r., z Koszar Mirowskich wyszedł oddział polskich dragonów i uderzył na placówkę rosyjską. Było to hasłem zbrojnego powstania Stolicy w odpowiedzi na krakowski akt Kościuski z 24 marca.

Powstanie Warszawskie nie przedstawiało niespodzianki. Szerokie rzesze ludności nie pogodziły się ani przez chwilę z utratą konstytucji 3 maja i obcym garnizonom. Rzemieślnik, inteligent czy subiekt warszawski z napięciem oczekiwał hasła walki z tymi, którzy odebrali jego Ojczyźnie niepodległość, a jemu wolność. Na tle tych nastrojów działało w Stolicy tajne sprzyśnięcie rewolucyjne, na którego czele stali przedstawiciele wszystkich warstw.

Walki ludu i warszawskiego polskiego garnizonu trwały trzy dni i zostały uwieńczone zwycięstwem, okupionym jednak dużymi ofiarami. Zginęło 10% żołnierzy polskiego garnizonu i około 1000 /na 100.000 mieszkańców/ ludności cywilnej.

W Niedzielę Wielkanocną Warszawa wolna była od obecnej przemoc, łączyła się z wolnym Krakowem, by niebawem po zaciętych walkach, w których piąta część mieszkańców brała udział z bronią w ręku, chlubił się przetrwać i przerwać oblężenie rosyjsko-pruskie. Niedługo jednak cieszyła

się wolnością. Po klęsce Kościuski pod Maciejowicami nieprzyjacieli uderzył powtórnie na Warszawę, zwycięstwo swe znacząc okrutną „rzezią Pragi”.

NOC LISTOPADOWA

Beztraska na pozór Warszawa Królestwa Kongresowego nie zapomniała swych idealnych porównań i nie pogodziła się z rządami rosyjskiego cara oraz przejawami politycznej reakcji. Na Starym Mieście oddychało się atmosferą głębokich uczuć narodowych. Stare Miasto tęskniło do wolności i z całego serca nienawidziło okupantów. W kawiarniach zaś na ulicy Miodowej, grupujących studentów i młodą inteligencję, tworzone koncepcje walki z carem i rodzimą reakcją, rzucano pomysły i idee nowej Polski, wolnej od carskiej przemoc, lecz wolnej i od „własnego ucisku”, Polski szerokich rzesz narodu.

Idee z ulicy Miodowej szybko przenikały na Stare Miasto, otrzymując silne podmurowanie w postaci warszawskiego ludu. Na Starym Mieście, Rybakach, Miodowej i Krakowskim Przedmieściu przesuwała się wizja Niepodległej, Wolnej i Demokratycznej Polski, pełna idealizmu, szerokiego tchnienia, rozległych widnokręgów, a nade wszystko bezinteresownej ofiarności i zapału.

Z atmosfery Starego Miasta wyrosło sprzyśnięcie Szkoły Podchorążych z Alei Ujazdowskiej. Spisek Podchorążych wszedł w łączność z młodymi oficerami warszawskiego garnizonu i nawiązał nić porozumienia z kołami studenckimi i młodą inteligencją, które nadały mu rozmach ideologiczny.

Tęsknoty i pragnienia Warszawy przybierają kształt rzeczywistości w godzinach wieczornych 29 listopada 1830 r. Podchorążowie uderzają na koszary gwardii rosyjskiej, następnie przebiegają ulicę wzywając ludność do broni. Na Starym Mieście cywilni uczestnicy sprzyśnięcia porywają lud do walki.

Z pomocą rzemieślnikom i robotnikom warszawskim przyszedł batalion pułku „Dzieci Warszawy” od dowództwem, młodego kapitana. „Dzieci Warszawy” przebiły się na Długą i zdobyły Arsenal. Ludność Stolicy otrzymała broń i szeroką falą rozlała się po ulicach, decydując o zwycięstwie powstania.

Warszawa pociągnęła za sobą całe Królestwo — Kraj stanął w ogniu walki.

Na dziejach powstania silnie się uwydatniła wpływ Warszawy. Stolica stała popierała te czynniki, które reprezentowały rozmach i ideaowość, a zwalczała zmurzałe formy i opieszałość. Ona to wymogła na sejmie — tłumnie demonstrując na ulicach — detronizację cara, jak przedtem zmusiła do usunięcia z rządu ludzi, unikających zerwania z Rosją. Ona udzieliła poparcia gen. Prądzińskiemu w jego śmiałych pomysłach prowadzenia wojny. Na jej żądanie pozabawiono dowództwa opieszałego gen. Skrzyneckiego. Ona wreszcie nie cofnęła się i przed rozruchami, by przeskoczyć reakcyjnym intrygom kliki wyższych oficerów. A gdy nieprzyjacieli oblegał miasto, lud warszawski mężnie walczył na szczytach.

„REWOLUCJA MORALNA”

Klęska ruchu listopadowego pociągnęła za sobą zniesienie pozornej niezależności Królestwa i oddaliła od Warszawy wcielenie ideałów, za które jej ludność ofiar-

nie przelewała krew. Ucisk carski wzrastał z dnia na dzień.

Reakcją na ten stan rzeczy był ogarniający Kraj swoisty mesjanizm, uzewnętrzający gorącą chęć zmian, tęsknotę do niepodległości i gotowość do najdalej idących poświęceń, by wcielić w życie ideał wolnej Polski.

Tą atmosferą mesjanizmu na wskroś prześiknięta była inteligencja Warszawy, czarowi jej uległ i lud warszawski. Na jej tle też rozwijają się w Warszawie od końca piętego dziesiątka lat tajne koła młodzieży inteligentkiej i robotniczej. Podjęły one jednocześnie wielkie hasła reform społecznych i politycznych, pozostawione w spadku przez tragiczny spisek warszawski lat czterdziestych ze Świętego Krzyża, będący w przymierzu z ideowym ruchem „Młodej Europy”, przewodzonej przez Mazzinięgo. Warszawskie koła spiskowe zainicjowały manifestacje religijno-patriotyczne, w których wzięła udział cała pracująca Warszawa. Były to wyjątkowe demonstracje polityczne: uczestnicy żarliwie oddawali się modłom i śpiewom patriotycznym, nie zważając na kule i bagnety rosyjskich żołnierzy. Padały w nich liczne ofiary — jednak umacniały one tylko ducha stolicy.

Dokonały te manifestacje całkowitego przeobrażenia duszy ludności warszawskiej: uczyły bezinteresownej ofiarności, wydobywały moc z cierpienia. Stąd też okres ten nawet Rosjanie zwali „rewolucją moralną”.

Fala demonstracji rozlała się za Warszawą po całym Kraju. Uzewnętrzając miłość do Boga i Ojczyzny oraz siłę płynącą z ofiar, manifestacje narzucały ogółowi ideologię niepodległościową i demokratyczną, opartą na nauce Chrystusa.

„Rewolucja moralna” stworzyła warunki, umożliwiające ofiarny zryw styczniowy 1863 r.

REWOLUCYJNY NACZELNIK MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWA

W Hotelu Polskim na Długiej, w Europejskim na Placu Saskim, w Kawiarni pod Filarami, u „Andzi” na Placu Teatralnym, w prywatnych mieszkaniach na Marszałkowskiej i Wspólnej przewódcy tajnych kół spiskowych przygotowywali ruch zbrojny o niepodległość. Organizowano przede wszystkim Warszawę, która miała być ośrodkiem ruchu i jego główną ostoją.

Powstanie rozpoczęło nakazem z Warszawy napadem na prowincjonalne garnizony rosyjskie w noc z 22 na 23 stycznia 1863 r.

Warszawa nadawała powstaniu styczniowemu piętno przemożne. Posiadała też wyjątkowo potężną organizację rewolucyjną, zwaną „miejską”, na czele której stał naczelnik m. st. Warszawa, sprawujący swą władzę z ramienia i w imieniu Rządu Narodowego. Naczelnik miasta regulował całe życie Stolicy przez szeroko rozgałęzioną tajną organizację, w skład której wchodziła administracja, organizacja wojenna, policja, żandarmeria i Rada Główna Opiekunów. Rewolucyjna Warszawa żyła własnym życiem, posiadała też własną prasę, wielokrotnie licniejszą od prasy legalnej.

Rewolucyjna Organizacja Warszawy o 160.000 ludności liczyła 2.000 funkcjonariuszy. Składali się oni w dwóch trzecich z rzemieślników i robotników, w jednej trzeciej z inteligencji. Nic się nie

działo w Warszawie bez jej woli i wiedzy. Jej Naczelnik musiał wykazywać charakter, wolę i rzutkość, a przede wszystkim zdawać sobie sprawę, że „to co głosimy nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałym i niezłomnym, że za nie w każdej chwili życie dać jesteśmy gotowi i co dzień je narazamy”.

Wkroczenie szandarmów rosyjskich na ulicę Smólną i aresztowanie Traugutta kładzie kres Rządowi Narodowemu. Śmierć Dyktatora znaczyła upadek ruchu w całym Kraju. W parę tygodni potem ginął na szubienicy i ostatni Naczelnik Warszawy młodzieńcy Aleksander Waszkowski, a wraz z nim przestała istnieć i Miejska Organizacja Powstańcza.

W CIENIU CYTADELI

Po upadku powstania styczniowego Warszawa spadła do rządu stolicy „Priwiślańskiego Kraju”. Uginiała się pod ciężkim brzemieniem najskrajniejszego absolutyzmu, opartego na bezprawności, przedającej policji, okrutnym wojsku, więzieniach, Sybirze i szubienicy.

Ludność Stolicy nie zapomniła jednak o swych ideałach. Już w ósmym dziesiątku lat przeszłego stulecia rozwija w Warszawie działalność tajna organizacja „Proletariat” z Waryńskim na czele, która wysuwa ideały wolności i socjalizmu. Od 1892 r. serce pracującej Warszawy pozyskuje stopniowo Polska Partia Socjalistyczna, która rozwija co raz bardziej nateżoną działalność.

Wojna rosyjsko-japońska obudziła nadzieje Warszawy. Podjęła ona otwarcie walkę z carem i pociągnęła za sobą całe Królestwo. Ośrodkiem tego ruchu była sześcioletnia Organizacja Bojowa P.P.S., która stała się awangardą rewolucji Królestwa. Było to powstanie narodowe a jednocześnie i rewolucja społeczna, z celem wywalenia niepodległej, demokratycznej Polski świata pracy. Po krwawej robotniczej manifestacji na Placu Grzybowskim nastąpiły zbrojne wypadki i zamachy na wojsko i policję carską.

Ten ruch rewolucyjny w Warszawie w latach 1904 — 1907, któremu towarzyszyły ruchy w całym Kraju, okupiony licznymi ofiarami w szeregach robotniczej Warszawy, znaczący tak promiennymi bohaterami jak Montwiłł, Mirecki, Baron czy Okrzeja, choć został zgnieciony przez przemożne siły caratu, posiadał doniosłe znaczenie: utworzył drogę dalszym usiłowanym nad wyzwoleniem Kraju i budową sprawiedliwego ładu społeczno-politycznego.

WYZWOLENIE

Walka toczona w imię niepodległości i walki z carem nie ustalała na chwilę, gdy Warszawę okupowały od 1915 r. wojska niemieckie. Bierny opór obok czynnych zbrojnych wystąpień organizowanych przez P.P.S. znamionował okres rządów niemieckich w Warszawie. W 1917 r. P.P.S. sekunduje tajną organizacją wojskową.

11 listopada 1918 r. stał się wyrazem nieugiętych nastrojów Stolicy. Polska Organizacja Wojskowa i Polska Partia Socjalistyczna pociągnęły za sobą całą ludność do walki przeciw okupantowi. Warszawa rozbroiła wojsko niemieckie, zapoczątkowując dzieje Polski Odrodzonej.

Imponująca wystawa pod nazwą

„WARSZAWA: WCZORAJ — DZIŚ — JUTRO”, otwarta przez prezydenta Starzyńskiego w 1938 r. w nowowybudowanym staraniem miasta wspaniałym gmachu Muzeum Narodowego, odzwierciedla wymownie rolę Warszawy w Polsce Odrodzonej, jej znaczenie i rozmach. Dawała obraz wielkości Stolicy w czasach dawnych i centralne znaczenie w bieżącym życiu Rzeczypospolitej. Obrazowała wspaniałe wyniki na polu rozwoju finansowego, gospodarczego, kulturalnego i artystycznego oraz uwydatniała wysoki moralizm mieszkańców. Odsłaniała i wielkie plany na przyszłość.

Ta wizja niedalekiej przyszłości Warszawy przekreślona została przez zdradziecki napad niemiecki na Polskę.

OBRONA WARSZAWY

Z niepokojem i trwogą śledziła Warszawa przebieg pierwszych dni wojny polsko-niemieckiej.

Trwoga ogarniająca Stolicę nie była strachem przed wrogiem czy bitwą, była to troska o honor Warszawy. Nie bała się Warszawa bomb samolotów czy ognia artylerii, obawiała się poddania bez walki. Gdy więc wojsko nieprzyjacielskie zbliżało się pod mury miasta, prezydent Stolicy Stefan Starzyński wezwał Warszawę do zbrojnego oporu. Do walki z najeźdźcą rzucał wezwaniem i reprezentującą warszawski świat pracy Polska Partia Socjalistyczna, z której ramienia kierownictwo objął Mieczysław Niedziałkowski. Wnet powstały robotnicze bataliony dla obrony miasta, wnet cała ludność Stolicy gotowa była do najdalej idących ofiar.

Stolica wytrzymała w fatalnych warunkach trzytygodniowe oblężenie. Nie zmogły jej chmary samolotów, nie huraganowy ogień artylerii, nie odstraszyły ementarze w parkach i na skwerach, ni grzy wspaniałych budowli — musiała jednak walkę przerwać z powodu braku amunicji, żywności i wody.

Warszawa przerwała otwarty bój, walczyła jednak dalej ukryta w podziemiach, w myśl hasła rzuconego przez Mieczysława Niedziałkowskiego: „klasa robotnicza nie poddaje się, klasa robotnicza walczy dalej”.

Groza losu Ghetta, tysiące egzekucji, obozy koncentracyjne, łapanki i wywożenie ludności nie ugięły Warszawy. Walczyła bezustannie z podziemi, starannie przygotowując się do podjęcia na nowo otwartej walki zbrojnej.

SIERPIEŃ 1944 R.

1 sierpnia 1944 r. na ulicach Warszawy znowu pojawiły się oddziały Polskich Sił Zbrojnych — to warszawska Armia Krajowa z mocą podjęła ofiarą walkę o wyzwolenie. Pożoga wojenna została objęta całe miasto. Morza pożarów, grzy ułomowanego miasta, dziesiątki tysięcy ofiar znaczą ten nadludzki poryw bohaterstwa Stolicy. Tej bezbrzeżnej ofiarności, niezmiernemu idealizmowi i nadludzkiemu bohaterstwu Warszawy towarzyszyła długo obojętność państw, z którymi Polacy walczyli ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi.

I ta niezasiłowana wielka krzywda nie zlamiała Stolicy. Warszawa wie, iż jej poświęcenie przyniesie musi ostateczne zwycięstwo ideałów. Warszawa wierzy w sprawiedliwość dziejową.

EDMUND OPPMAN

DWIE BITWY WARSZAWSKIE

Toczą się obecnie dwie bitwy warszawskie, czy podwójna bitwa. Jedną dobiega już końca siódmy tydzień. Prowadzi ją gen. Bór na gruzach i zgliszczach stolicy, topniejącymi siłami swych żołnierzy, głodnych, bez wody, upadających ze znużenia, wciąż jeszcze niezwalczonych i niezłomnych. W ostatnim tygodniu doniosły im znowu brytyjskie samoloty z odległych baz w ciężkich warunkach atmosferycznych a nie bez ofiar, nieco amunicji i sprzętu. Od czterdziestego czwartego dnia bitwy zaczęła dochodzić pewna pomoc w zrzutach ze strony sowieckiej. Świeżo amerykańskie "latające fortece" zrzucały w dzień znaczniejszą pomoc. Rozwinęła się akcja lotnictwa sowieckiego nad Warszawą. Okoliczności te umożliwiły bohaterom obrońcom Warszawy przedłużenie walki.

Niemcy dokonywali przy pełnym wyszkoleniu obrzynie przewagi sprzętowej najwyższych wysiłków, by złamać opór polski w Śródmieściu, na Żoliborzu oraz obszarze Czerwińska i Sielec i ostatecznie odzyskać swobodę ruchu i bezpieczeństwo komunikacji na bezpośrednim zapleczu frontu, w bezpośrednim sąsiedztwie mostów. Trzymają Powiśle i gorącą nad nim krawędź wąskim pasem z wyjątkami przebitymi i wypalonymi przez walczące miasto. Sytuacja ta jest nie do utrzymania z chwilą utraty przedmościa na prawym brzegu.

Tam zaś rozpalila się druga bitwa warszawska. Niemcy trzymali zrazu dawny "Brückenkopf" w Warszawie — połączone ryglową pozycją z utrzymanym dotąd Zegrzem. Natarcia sowieckie na południowe skrzydło przedmościa zepchnęły Niemców na samą Pragę, następnie zaś wojska sowieckie z udziałem polskich oddziałów armii Berlinga zdobyły Pragę, Niemcy wycofali się, jak się zdaje, pod naporem, na Modlin, mostami pontonowymi na Puszczy Kampinoskiej, częściowo zaś tylko przez mosty warszawskie, które przeważnie wysadzili.

Gen. Bór jest od kilku dni w kontakcie i współpracy operacyjnej z marsz. Rokossowskim i łączność taktyczną oddziałów walczących z obu stron nawiązana. Dwie bitwy warszawskie schodzą się w jedną.

Oby ten zwrotny punkt w tragicznej walce stolicy oznaczał zwrot w stosunku do tej najbardziej bohaterkiej armii świata, jaką jest nasza Armia Krajowa.

BITWA O NIEMCY ROZPOCZĘTA

Pisaliśmy w poprzednim "Przebiegu" o zatrzymaniu się postępu sojuszników za rozgromionymi Niemcami w "luce Belforckiej", na linii Mozeli, w Nadrenii na przedpolach niemieckiego "Westwall", popularnie zwanego "linią Zygfryda" i na liniach kanałów w Belgii północnej, na graniczu Holandii. Po kilkuset kilometrowym postępie armie sojusznicy musiały zebrać siły i sprzęt i zapewnić dowód przed uderzeniem na ściągnięte popiesznie armie niemieckie, osłaniające same granice "Reichu". Ale już zaczynała się nowa bitwa w dostępowo do tej "fortecy fortec" bitwa graniczna.

Można było się liczyć z prze-

Przebieg tygodniowy

ciągnięciem się na tygodnie działań wstępnych, mających doprowadzić do "Westwall" i z długotrwałym, mozolnym przełamaniem tego głębokiego pasa potężnych fortyfikacji. Pisaliśmy jednak na tym miejscu, że najpotężniejsze nawet pozycje ufortyfikowane czy przeszkody naturalne nie wojują same; że trzeba odpowiednio silnych armii, by ich bronić. Nasuwało się pytanie, czy Niemców stać będzie na "umeblowanie" wojskiem i sprzętem ich "Wału zachodniego." Wypadki zdają się dawać już odpowiedź. Na prawym skrzydle Francuzi i Amerykanie są pod Belfortem, w bramie między Szwajcarią a Wogezami, u progu Alzacji. Dalej na lewo wzięli Epinal, dalej opanowali Nancy i Luneville, łamiąc zacięte przeciwnarciarstwa, przedarli się przez Mozelę na południe i północ od Metz, wymieli tę starą fortecę, zdobyli Thionville, posuwają się ku Saarze.

Ale dalej na lewo przez Luksemburg i Belgię nie tylko dotarli do granic Rzeszy i do "Wału Zachodniego", ale z niewiarygodną szybkością przebili go na północ od Trewiru, w kierunku na Pruem i na południe od Akwizgranu, gdzie broni się osaczony już garnizon niemiecki i prą na Kobleniec i Kolonię do Renu. "West-Wall", obsadzony słabo, w ostatniej chwili, nie okazał się zapórą nie do przebycia. Niemcy rzucili wszystkie odwody do przeciwnarciarstwa i zacięte walki są w toku. Dalej na lewo, na rubież Belgii-

i Holandii, Brytyjczycy przełamali opór niemiecki nad Kanałem Alberta, wywalczyli przeprawy przez następną dużą przeszkodę — kanał Skaldy. Na tyłach walczących tu poważnych sił niemieckich wyładowała w sercu Holandii powietrzna armia sojuszników amerykańsko-brytyjsko-polska. Należy tu oczekiwać wielkich wydarzeń.

Na skrajnym lewym skrzydle Kanadyjczycy i Polacy w trudnym, poprzecinanym terenie odcinają znaczne siły niemieckie i spychają je na dolną Skaldę i morze.

Opór Niemców, osaczonych w Brest dogorywa pod ulewą bomb. Le Havre i Boulogne wzięte. Wśródkowej Francji kapitulowało 20.000 Niemców dawno odciętych.

Bitwa w pełnym toku. Ale już bierze obrót groźny dla Niemców, a berlińskie jej echo to niemal krzyk przerażenia.

BIJA SIĘ NASI

Myśl nasza w tej chwili zwraca się ku polskiemu wojsku spadochronowym, które po tak długim, gruntownym wyszkoleniu, długim oczekiwaniu po raz pierwszy spadły z powietrza na wroga, aby wziąć odwet za Warszawę i przyczynić się do jego ostatecznego powalenia.

O naszej dywizji pancernej głośno dziś we Francji i Belgii, niedługo Holandia cała dowie się, że wolność jej nieśli obok bratnich wojsk sprzymierzonych polscy pancernicy Maczka, polscy spadochroniarze

Sosabowskiego. Dowie się i zapamięta na zawsze.

A Francja — mocno jesteście o tym przekonani — nie zapomni tych żołnierzy Polski podziemnej, którzy za wolność jej zginęli z rak katów, przechodzących przez męki więzień Gestapo, bili się w Paryżu, walczą dzisiaj tysiącami we własnych oddziałach razem z Francuską Armią Krajową. Zadzierzga się tu w świadomości narodów węzły, trwalsze może od wszelkich traktatów.

"RES AD TRIARIOS VENIT"

"Przyszła kolej na triariusów." Pod tym tytułem, wziętym z łacińskiego przysłowia, omawiał świeżo sytuację wojenną gen. Dietmar, świetny niemiecki komentator radiowy. Co to byli "triariusi"? Starzy żołnierze, stanowiący trzecią, odwodową linię starorzeczymskiego legionu. Przychodziła na nich kolej, gdy szły zaczęły się łamać i gdy trzeba było w potrzebie ratować położenie — "restituere rem."

W obecnym położeniu Rzeszy "triariusi" to mają być ludzie z ostatniej mobilizacji, najostatniejszej z totalnych. Z sensu wynika, że raczej starsi. Nie tyle zaprawieni do boju weterani, ile /poza buralistami, aktorami, muzykami, handlowcami i podobnym ludem dotąd niewojennym/ zwolnionym przez opuszczanie krajów okupacyjnych personal, a zatem różne formacje etapowe, policyjne, asystencyjne, nie-

Z tygodnia na tydzień

11 września: Wojska amerykańskie walczą po raz pierwszy na ziemi niemieckiej w rejonie m. Trewir, koło granicy niemiecko-luksemburskiej. Wojska brytyjskie wkroczyły do Holandii.

— Wojska amerykańskie walczące na północy i południu Francji potoczyły się koło Dijon.

— Polska dywizja pancerna zajęła Gandawę i posuwa się w kierunku na Antwerpier.

— W nocy z 10/11 lotnictwo brytyjskie i polskie, działające z baz włoskich, zrzuca broń dla Armii Krajowej w Warszawie.

— W śródmieściu Warszawy trwają nadal walki uliczne.

— W Quebec rozpoczęła się konferencja Churchill'a z Rooseveltem.

12 września: W Warszawie wzmożony nacisk niemiecki od strony Wisły, szczególnie w rej. Czerniakowa.

— Rząd R.P. stwierdził z podziękowaniem, że gen. Bór otrzymał pomoc od Brytyjczyków w postaci 100 ton broni i sprzętu wojennego.

— Ujawniono szczegóły dotyczące działalności Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we Francji.

— Niemcy w Hawrze poddali się.

— Ogłoszono, że Niemcy ewakuują wyspy Morza Egejskiego.

13 września: W Warszawie napór Niemców na śródmieście. Odparto ataki niemieckie na Marymont. Ożywiona działalność lotnictwa sowieckiego nad Pragę. Niemcy wy-

sadzili w powietrze Most Poniatowski i most kolejowy linii średnicowej.

— Wojska sowieckie zajęły Łomżę i Krosno.

— Sprzymierzeni zajęli m. Roetgen w Niemczech oraz we Francji Thionville i Neufchâteau.

— Polska dywizja pancerna zajęła St. Nicholas, na wsch. od Gandawy.

— Lotnictwo amerykańskie bombardowało z baz włoskich rafinerię w Oświęcimiu i ośrodki kolejowe w Wadowicach.

14 września: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie wraz z dywizją piechoty armii gen. Berlinga, sformowanej w Z.S.R.F., zajęły Pragę, przedmieście Warszawy. Wojska sowieckie zajęły Nowogród, na ptn. zach. od Łomży.

— W Warszawie Armia Krajowa odpiara z dużym wysiłkiem natarcia niemieckie. Rosjanie dokonali w nocy z 13/14 pierwszych niedużych rzutów żywności i amunicji na przedmieście Warszawy.

15 września: W Warszawie nieprzyjaciel usiłował bez powodzenia uzyskać większą swobodę ruchów. A.K. poniosła straty terenowe w ruinach dzielnic Sielec. Niemcy masowo niszczą budynki.

— Amerykanie przerwali Linie Zygfryda na wsch. od Akwizgranu.

— Brytyjczycy uwolnili pierwsze miasto w Holandii, Maastricht.

— Sprzymierzeni przekroczyli Mozelle w kilku miejscach. Amery-

kanie zajęli Nancy.

— Oddziały 1. Dywizji Pancernej przekroczyły granicę holenderską w rejonie Hulst.

— Rozkazem Nr. 20 Naczelny Wódz nadał polskiemu dywizjonowi bombowemu "301", który niósł pomoc Warszawie — imię "Obrońców Warszawy".

— Podano szczegóły o udziale Polaków w wyzwoleniu Aix-les-Bains.

16 września: Wojska amerykańskie wdzierają się do Niemiec wzdłuż całej granicy luksemburskiej i belgijskiej.

— Zakończenie konferencji w Quebec.

— Na obszarze śródmieścia w Warszawie inicjatywa przechodzi w ręce A.K. Ożywione walki trwają w rej. ul. Książęcej i Sejmu. Warszawa otrzymuje stale zrzucały sowieckiej broni i żywności.

17 września: Wojska powietrzne Sprzymierzonych wyładowały w Holandii. Wśród nich znajdują się oddziały polskich spadochroniarzy.

— Ogłoszono, że nawiązana została współpraca operacyjna między gen. Borem a marsz. Rokossowskim, sowieckim dowódcą frontu.

— W W. Brytanii zniesiono częściowo zaciemnianie światła.

— Armia Krajowa w Warszawie atakowała pozycje niemieckie na Powiśle, oraz prowadziła ciężkie walki na Czerniakowie przy współ-

działaniu artylerii sowieckiej.

bojowe rzuty SS, oprawcy z więzień i obozów koncentracyjnych. Nie sądzimy, by dużo tego wydobyło, gdy w samej Rzeszy Gestapo ma pełne ręce roboty, "likwidując" dziesiątki tysięcy własnych rodaków, podejrzących o to, że mogliby być niebezpieczni w pewnych okolicznościach. Wiemy, że poza tym poszły do walki szkoły podchorążych, użyte jako piechota, bijące się oczywiście do upadłego i ginące z wpatliwym pożytkiem dla przyszłości Reichswehry, obok nich zaś bataliony karne, niewątpliwie oczekujące raczej wyzwolenia przez wzięcie do niewoli. Nad kanałem Skaldy biją się bataliony chłopięce, niemal dzieci.

Tacy to są "triariusi" Dietmara. Ci nie odwrócą od Niemiec nieuchronnego losu.

Zapowiadał Goebbels, że każdy Niemiec ma na swoją rękę walcząc z najeźdźcą i niszczyć wszystko by w ręce Sprzymierzonych nie wpadło. Dotychczasowe doświadczenie nie wskazuje, by "Herrenvolk" wezwaniem tym zbyttnio się przejął. Ludność niemiecka okazuje raczej populiwność wobec Aliantów. Gdyby wierzyć pierwszym obserwacjom korespondentów amerykańskich, spotykali samych "dobrych Niemców." Aż przypominać trzeba było potworne rzezie, popełniane przez ten naród w całej Europie i straszliwe męczarnie, w których zginęły setki tysięcy ludzi, a których mrozące krew w żyłach dowody mnożą się i narastają codziennie. Jednakże wystąpiły już pierwsze oznaki, że za białymi flagami wywieszonymi przez Niemców mogą się czaić bojowcy ze "Schmeisserami" i jedno miasteczko zostało już spalone w odwiec.

Nic nie zastąpi milionów niemieckiego żołnierza, przepadłych w Rosji, Afryce, Włoszech, Francji, zniszczonych armij, zniszczonego sprzętu, zgruchotanej "Luftwaffe", zdruzgotanych i spalonych fabryk. Przeważanie walki spycha tylko w tym głębszą przepaść naród niemiecki. I jest w tym jakby palec Boży, że popełnione zbrodnie nie pozwalają im tym razem wycofać się z walki z szansą jakiegos w przyszłości odwetu; że nie widzą innego wyjścia, jak walka i ślą na zagładę ostatnie ludzkie zasoby, w tym chłopców — przyszłość narodu. I że każdy dzień trwania Niemiec zmniejsza możliwość ich podźwignięcia się w następnych pokoleniach.

EUROPA PRZECIW NIEMCOM

Przeciw Niemcom biją się dzisiaj nie tylko narody zjednoczone. Biją się ich wczorajsi sojusznicy. Wiosna oddawna. Od dwóch tygodni Rumuni. Od tygodnia Bułgarzy. Od paru dni Finowie. Wojsko ich wasala słowackiego zmieniło, zdaje się, front, przechodzi do powstańców. Jedni Węgrzy z musu są jeszcze z nimi, nie znajdując niestety wyjścia. Są jeszcze państwa neutralne, ale neutralność ich sztywnieje w stosunku do Niemiec, nabiera odrazy do tego narodu spalimonego zbrodniami a życzliwości do tych, co idą z Zachodu z wiarą, że walczą za wolność narodów i lepszą przyszłość świata.

Zamknięte 19 września.

TRIARIUS

Nowości lotnicze

Ostatnie sześć miesięcy przyniosły szereg bardzo doniosłych wynalazków z dziedziny lotnictwa. Na polach bitew pojawił się nowy sprzęt, przynosząc nowe formy walki. Te sześć miesięcy, jakkolwiek historią prac i badań sięgają znacznie dalej wstecz, kiedy to w laboratoriach nowe pomysły zaczęły przyoblekać się w realne kształty, będą one kiedyś nosiły miano przełomowych w dziejach lotnictwa.

Między innymi, do rewolucyjnych wynalazków, które spowodują przewrót w pojęciach użycia samolotu, w planach organizacji obrony kraju, może nawet w pojęciach politycznych — należą bronie raketowe, bronie dalekosieżne, samoloty bezmigłowe oraz wynalazki z dziedziny chemii i elektrotechniki, o których jeszcze nie czas wspominać.

Szybkości, osiągalne przez samolot o napędzie raketowym, przybliżyły się gwałtownie do szybkości krytycznej, do szybkości głosu. Gdy je przekroczy, cała aerodynamika i jej zasady nie będą już mogły znaleźć zastosowania. Standartowy dotychczas profil skrzydła będzie odrzucony, gdyż opory przy takich szybkościach muszą być inaczej pokonywane. Poza tym przekroczenie tych szybkości będzie wymagało stosowania w konstrukcji nowych materiałów, równie odpornych, wytrzymałych, jak i lekkich. Być może, że rozwiązanie tej sprawy nastąpi w drodze zastosowania nowych, jeszcze dotychczas nieznanymi mas plastycznych.

W tej chwili znamy masy plastyczne jak szkło przezroczyste, do tego stopnia, że można z nich wyrobić soczewki, nie wiele ustępujące w stopniu twardości mikiemu żelazowi, doskonale do obróbki. Znamy także inne, elastyczne, jak stal i jeszcze inne, niewrażliwe na zmiany temperatury. Nie jest tedy wykluczone, że ośrodki doświadczalne dadzą nam po wojnie taką masę, która będzie w stanie zastąpić dotychczas znane materiały, z których budujemy samoloty, a może nawet je przewyższy.

Postępy w dziedzinie telewizji po-

zwalają nam dzisiaj już na takie rzeczy, które nawet dla współczesnego Europejczyka zdają się stać na granicy cudów. Bądź co bądź radiolokacja była także cudem i ten cud w dużej mierze przyczynił się do zwycięstwa w Bitwie o W. Brytanię. Niemcy wówczas nie mieli radiolokacji, ani też nie przypuszczali, że ma ona zastosowanie praktyczne i to właśnie w Wielkiej Brytanii. Było to zaskoczenie na miarę strategiczną i dało w ręce Brytyjczyków taką przewagę, że wyrównywała braki liczebne RAF'u w stosunku do Luftflotte.

Dalekosieżne ciężkie pociski o napędzie propylsijnym /odrzutowym/, a więc zarówno termiczno-strumieniowym, jak i raketowym, wpłynęły w dużej mierze a w znacznie większej wpłynęły jeszcze na systemy obronne całych krajów. Równocześnie lekki pocisk raketowy tak przybrał na sile niszczącej, że w tej chwili nie ma pancerną, który by chronił przeciw tym pociskom i to zarówno okręty jak i czołgi. Równocześnie spowodowało to rewolucję w konstrukcjach fortyfikacyjnych.

Wszystko to zmieni w przyszłości oblicze wojny powietrznej i na tym tle słowa marszałka Harrisa, że: "lotnictwo bombowe w swej obecnej formie przestanie istnieć po wojnie", stają się zrozumiałe. Wpływa to, rzecz jasna, na powojenne projekty bezpieczeństwa międzynarodowego, nad którymi w tej chwili głośnia się przedstawiciele mocarstw w Dumbarton Oaks pod Washingtonem. Obrady te idą po linii zapewnienia nie tylko ogólnego bezpieczeństwa, lecz stworzenia siły międzynarodowej, która potrafi reagować "radykalnie, a przede wszystkim szybko" — jak to rzekł prezydent Roosevelt. Liga Narodów nie działała szybko, orzekła konferencja w Dumbarton Oaks.

Ktoś powiedział, że lepiej zabezpieczyć pokój dobrym sztabowcem, niż

dobrym dyplomata. Może to i prawda. Lecz z tego nie wynika konieczność zastąpienia organizacji, która obejmowałaby wszystkie narody, organizacją, w której mają udział jedynie cztery, a po prawdzie tylko trzy mocarstwa... Wydaje się, że nawet /co prawda gdy już nie inne/ zrobić nie będzie można /reorganizacja Ligii Narodów wystarczałaby zupełnie, choćby przez dodanie tej chwalebnej, aczkolwiek powolnej i niezdecydowanej instytucji, jakichś organów wykonawczych.

Łącznie z dalszymi planami konferencji w Dumbarton Oaks, dochodzą nas plotki, że zdecydowano, iż międzynarodowa siła lotnicza nie będzie się składać wyłącznie z bombowców, lecz także z innych rodzajów broni lotniczych, a więc przede wszystkim z piechoty desantowej. Wielcy prorocy tej konferencji twierdzą, że gdy jakiś naród "wypadnie z szyn", należy interweniować desantami, a nie bombami, gdyż desant jest bardziej humanitarny. Niewątpliwie tak, tylko jak to stare polskie przysłowio mówi — na to dwu potrzeba: tego, który ładuje i tego, który by ładowaniu nie przeszkadzał...

Nie możemy wyobrazić sobie, że gdy jakiś naród "wypadnie z szyn" /używamy określenia zrodzonego na konferencji/, to będzie on z Bożym spójkiem patrzył się na to, jak go z powietrem na te szyny wstawiają — owe desanty, niczym nie poparte... Przypuszczamy natomiast, że naród wykolejony, najlepiej, "wstawia na szyny" — materiały wybuchowe, użyte szybko i odpowiednio.

Wielu ludziom wydaje się, że statki lżejsze od powietrza, a więc balony i sterowce, są już obiektami wykopaliskowymi. Tymczasem wcale tak nie jest. Sterowce nie tylko nie zanikają, lecz w Ameryce n.p. rozwijają się pięknie, przy czym

ilość jednostek balonowych jest bardzo duża. Coprawda, na żadnym innym kontynencie broń ta nie ma tak dobrych warunków rozwoju, jak właśnie w południowych częściach Ameryki Północnej, gdzie panują stałe pogody. Toteż tam właśnie balony-sterowce zostały użyte w walce z okrętami podwodnymi — z dużym skutkiem. Przyczynia się do tego ważny fakt, że tylko Ameryka posiada helium.*

W chwili, gdy wojna wybuchła, amerykańska Navy, która szczególnie opiekowała się tą bronią, posiadała zaledwie 5 sterowców o małej, względnie średniej /do 200.000 stóp sześciennych/ kubaturze, jak typy C.1, J-4, L-1, oraz T.C. 13-14. Były te typy konstrukcji nieszytwej albo półszytwej. Amerykańska Navy posiadała ponadto jeden sterowiec o dużej kubaturze /400.000 stóp sześciennych/ — K.2. Ten typ został w miarę rozwoju wypadków rozbudowany, ulepszony, stając się ojcem obecnej, sto przeszło statków powietrznych liczącej floty balonowej.

Do rozwoju floty balonowej marynarki Stanów Zjednoczonych przyczynia się wiele prywatna inicjatywa firmy "Goodyear". Ta firma interesowała się bardzo rozwojem sterowców dla celów komunikacyjnych i posiada rekord w swym rodzaju. Do stycznia 1942 roku "Goodyear" przewiozła 405.000 pasażerów, mając za sobą 151.000 lotów, przy 98 tysiącach przeleciań godzin, bez najmniejszego wypadku. W ostatnich latach przed wojną, specjalnością "Goodyear'a" były starty z przeciążonym balonem, co ma bardzo ważne znaczenie.

Poza Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, sterowcami interesowali się Francuzi i Włosi. Wielka

* Helium, albo hel — jest to gaz nietrujący, b. lekki, niezapalny, dlatego więc daleko bezpieczniejszy.

Z walk armii podziemnej

(Oryginalne reportaże nadesłane z Kraju)

„Panienka”



Umocniony punkt oporu na brzegu Wisły zbudowany przez Niemców

Wartownia *Bahnschutzu* dworca Warszawa — Towarowa. Stary, odrapany, ponury domek przy napisie między dworcem Zachodnim i Towarowym. Z ulicy Niemcewicz, poza parkanami firm opałowców i budowlanych widać tylko pierwsze piętro. Za to z torowisk jak na dłoni: pas drutów kolczastych dokoła budynku, zakratowane okna, w środkowym z nich — lufa ciężkiego karabinu maszynowego.

Tu, w tej ufortyfikowanej rudrze, z ręki komendanta wartowni, *Bahnschutzu* Schmalta, zginęło przeszło sto osób. Przeszło stu nędzarzy, tulających się po torach w poszukiwaniu kawałków węgla. Kobiet i dzieci często.

Schmaltz polował na ludzi, strzelał, jak do zwierząt. Schwytanych, sprowadzonych na wartownię, mordował własnoręcznie, bez przesłuchania, bez wiedzy zwierzchników. Aby cieszyć się śmiertelnym lekciem bezbronnych ofiar, aby upić się władzą życia i śmierci. Grube mury głużyły huk strzałów.

Parę kul w łeb — cóż to za kara, cóż za odwet, wobec winy stu morderstw. Szło o unieszkodliwienie zbrodniarza, a zarazem o rzućnię skutecznego postrachu na policję kolejową. I dlatego Schmaltz musiał zginąć właśnie na wartowni, wśród swojej załogi.

Załogę stanowiło jedenastu Niemców. Z okien wartowni, trzymani w nieustannej czujności, mogli obserwować przedpole z trzech stron. Ślepa ściana szczytowa, poza pasem zasieków, dawała natarciu jedyną szansę. W razie szturm — ale nie w razie obłężenia. Wartownia musiała być opanowana od jednego zamachu, od pierwszego uderzenia.

3-go marca o godzinie 11-ej ra-

Przez wyrwę w płocie, przez ledwie trzymające się deski, ujrano tyły wartowni. Właśnie wzdłuż dziedzińca przeszła dziwna grupa. Dwu żołnierzy z pistoletami maszynowymi na piersiach wiodło cywila, trzymanego pięściami za kark. Od bramy wjazdowej po lewej stronie wymińeli wartownię i znikli za węgiem, zmiatając ku wejściu do dyżurki po prawej stronie budynku. Jeśli kto patrzył z okien, musiał zwrócić uwagę na tę grupę i oczekiwał jej wkroczenia do wnętrza.

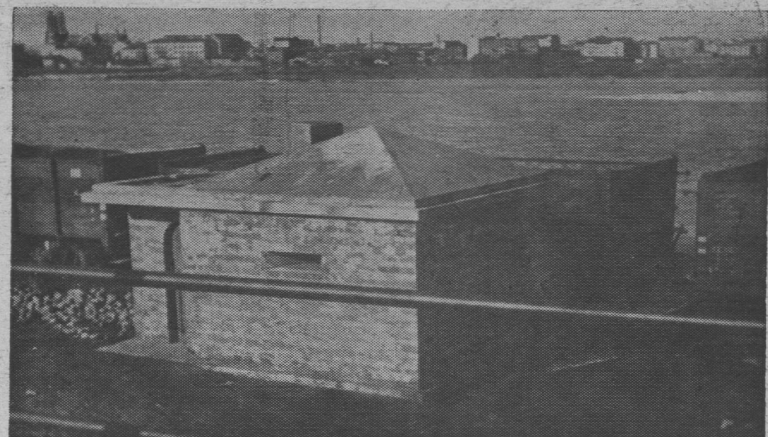
O to tylko chodziło.

Pchnięte mocno przeszło parkanu odchyliło się i przez wyłom ośmiu ludzi skoczyło na dziedzińiec wartowni. Na ukos. Ku ślepej ścianie. Cztery pary nożyc zazgrzytały na zasiekach. Zwisły przecięte druty kolczaste. Tuż niemal za węgiem, we frontowej ścianie było wejście główne, na parter i klatkę schodową. Tędy wtargnęło natarcie.

Ani jednego rozkazu. Każdy z góry wiedział co ma robić. Troje drzwi otwarło się w jednej chwili. Wpadli do izby na lewo. Pusta. Na stole — przy oknie — c.k.m. Nikogo. Skoczyli do następnej izby. Dyżurka.

—Ręce do góry! . . .

Schmaltz, siedzący przy biurku, twarzą do drzwi z dziedzińca, rozmawiał właśnie z żołnierzami trzymającymi cywila za kark. Jeden z jego ludzi siedział na przytoku, mając pod ręką pistolet maszyno-



Bunkier z systemu obrony Warszawy. W głębi kościół św. Floriana

wy. Drugi stał w bocznych drzwiach na prawo. Na okrzyk, Schmaltz zerwał się z miejsca. Nim sięgnął po leżący na stole „rozpylacz”, padł pierwszy strzał. Żołnierz i cywil uskoczyli w kąty — wszyscy trzej błysnęli lufami ku *Bahnschutzom*.

Raniony w bok Schmaltz poderwał się i skoczył ku bocznyemu drzwiom. Zderzył się ze stojącym tu *Bahnschutzem*, zatoczył — i padł obaj rażeni gradem kul.

Zastępca dowódcy akcji, grający chwilowo rolę żołnierza niemieckiego, wpakował w łeb Schmaltza

cały magazynek z *Parabellum*, z odległości dwu kroków. Panienko urodziwą twarz tego zbira — rozniósł po prostu kulami. Rzekomy złodziej kolejowy ubił drugiego Niemca. Trzeciego, siedzącego na przytoku i sięgającego po broń — zwałił wystrzałem z pistoletu maszynowego i dobił kulami z *Parabellum* drugi żołnierz z eskorty.

Gdy trzej Niemcy ginęli w dyżurce, dwaj inni padli w sypialni, zasypiani serią z „*Thompsona*”. Ostatni /bo pięciu było na obchodzie na torach/ poddał się od razu. Rozbrojony, plackiem leżąc na ziemi, dzielił los pięciu bab w kuchni i jakiegoś kolejarza niemieckiego, który w parę minut po strzałach przyszedł na wartownię od strony torów. Na piętrze nie było nikogo.

Całe natarcie i walka trwały sekundy. Wszystkie izby wartowni opanowano jednocześnie, jak jedną garścią. Huk strzałów utonął w łoskocie warczących z rozwalonym parkanem betoniarek.

Za wyłomem parkanu czekał już samochód ciężarowy. Z opanowanej wartowni wynoszono cały arsenał *Bahnschutzów*: dwa pistolety maszynowe typu „*Schmeisser*” dziesięć karabinów *Mauser*, czternaście karabinów francuskich, narecze broni krótkiej, skrzynki z amunicją, a wreszcie wytoczoną ów c.k.m. typu „*Maxim*”, z zapasem naladowanych taśm. Każdy z jedenastu uczestników po dwakroć wracał obładowany do auta. Po ośmiu minutach było już po wszystkim.

Na podłodze wartowni, tylekroć szorowanej z krwi pomordowanych bestialsko Polaków, stygły zwłoki „*Panny Schmaltza*” i jego czterech zbirów.

ZIK.-JAS.

Ruiny ul. Nowosenatorskiej w Warszawie. W głębi widoczna Kolumna Zygmunta sięgająca XVII-go wieku zniszczona przez Niemców w czasie ostatnich walk



Jest głęboka sierpniowa noc, lecz przez zwarte zarośla młodego zagajnika czerwieni się już wschodzący księżyc, oświetla nam kręte ścieżki.

Kierunek — Arciechów k. Serocka. Zadanie — opanować nieprzyjacielską strażnicę graniczną, zdobyć broń i ekwipunek.

Wies została z boku, głucho śpiąca w topieli mgieł. Mokre zarośla i łąki. W blasku księżycy majaczą słupy telegraficzne, wskazując drogę do strażnicy. Wysłani „druciarze” wracają wkrótce z meldunkiem: linia przerwana.

Nieprzyjaciel blisko. Już widać zarzysy budynku strażnicy. Ostrożnie, chyłkiem odrywa się czołówka

z dowódcą. Za nią podciągają drużyny. Na stanowiska. Rozkazy już dawno wydane. Nie pada ani słowo.

Tuż przed nami uzbrojona plotem kolczastym i zasiekami skarpa, dalej czerni się kanciasty blok strażnicy. Na dziedzińcu przyczajone sylwetki wart.

Czas. Psy obudziły się, coś weszła. Księżyc wylania się zza drzewa. Czas.

Wwach! . . . Wwach! . . . Wwach! . . . Wwach! . . . do pierwszych wybuchów granatów dołącza

się natychmiast wściekły jazgot broni maszynowej. I znów granaty. W błyskach wybuchów ukazują się coraz i ginie czarna sylwetka strażnicy. Ponad wybuchy i zgiełk broni szybkostrzelnej wybija się głośny rozkaz:

—Przerwij ogień. Szturm.

—Szturm! . . . Szturm! . . . — podchwytyją strzety. Dowódca pierwszy wpada na dziedzińiec, za nim szturmówka. Dopadają baraku, granat do wnętrza. Huk, po nim potężne echo — drugi, o wiele silniejszy i niespodziewany: to skrzynka granatów nieprzyjaciela poznała się z naszym. Lepiej nie trzeba.

Ściana wraz z narożnikiem wali się, ukazując płonące wnętrze.

—*Haende hoch!* . . . Ręce do góry! . . .

Wśród poszarpanych szczątków ludzkich w dymie i ogniu podnoszą się ręce zebrającym gestem pokoju i błagania.

—Nie strzelać! — pada rozkaz. Dowódca biegnie na drugi koniec baraku, gdzie jeszcze trzaskają wystrzały. Lecz wszystko nagle cichnie. Opór złamany, teren opanowany.

Ale jeszcze zapędzony szturmowiec widzi na podwórzu jakiś pagórek, ziejący czarnym otworem.

—Kto tu jest? — wrzeszczy do trzęsącego się obok w krótkiej kolumnie Niemca.

—*Keller, Keller* . . . —bełkoce.

Szturm na strażnicę

Odwrót. Zdobyc tylko rozdzielona do transportu. Oddział staje w kolumnie marszowej. Nikogo nie brakuje.

Pożar ogarnął już całą strażnicę. Świeci jak pochodnia. Załoga — dwunastu żandarmów — wybita i unieszkodliwiona.

Może luna zwabi jeszcze jakiś większy patrol żandarmerii — wzdycha ktoś w szeregu. — Jak długo to trwało? Z pięć minut?

Nie do wiary. Pięćdziesiąt minut? . . .

Marsz. Radosny ciężar broni. Jest czym walczyć. Jest czym szukać odwetu.

ABK.-JAS.

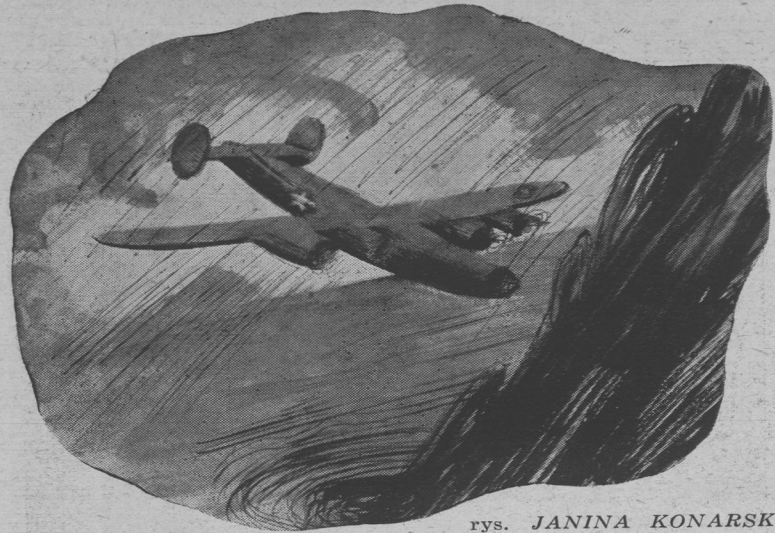
Stanowisko ogniowe



Walka w lesie



OCEAN-PUSTYNIA-DZ



rys. JANINA KONARSKA

W MAGAZYNIE W MONTREALU

Sprzedający nie zrozumiał lub ufał, że nie zrozumiał pytania. George powtórzył więc raz jeszcze:

— Czy możesz mi dać kompletny tropikalny outfit, na moją miarę?

Kupiec spojrzął na George'a, jak na wariata i obiecał wrócić za chwilę zniknąć w głębi eleganckiego magazynu mundurów wojskowych, położonego przy jednej z głównych ulic Montreal'u. Czekał na powrót sprzedającego, George zbliżył się do wielkich okien wystawowych, zawalonych futrami, ciepłymi, futrem podbitymi kamizelkami, wełnianymi szalami, futrzanymi czapkami i grubymi rękawicami. Za oknem szalała mroźna zawała i gęste kłęby śniegu wirowały po pustych ulicach.

Silny, trzydziestoparostopniowy mróz oczyścił miasto z codziennego tłumu i tylko ci, co naprawdę musieli opuścić swe ciepłe, zaciszne domy, przebiegali szybkim krokiem opustoszałe ulice. Na tło zimowego krajobrazu, George uświadomił sobie całą groteskowość, rzuconego przed chwilą, pytania i nie czuł się urażony, gdy zauważył po chwili, że sprzedający powraca w towarzystwie głównego manager'a oraz, że obaj patrzą nań jak na wariata. Manager, typowy okaz francuskiego Kanadyjczyka, ozdobiwszy swoją twarz w układny i obłudny uśmiech, skłonił się przed George'em:

— Przepraszam Pana bardzo, ale mój asystent nie zrozumiał Szanownego Pana, czy może włada Pan językiem francuskim?

— *J'ai oublié mon français, mais vous parlez aussi anglais? Je préfère parler anglais.* — George zmobilizował pośpiesznie resztki swej, dawno zapomnianej, kiszyniowsko-podolskiej francuszczyzny.

Układny manager — tym razem już po angielsku zapytał, czym może służyć. George wyjaśnił, że chce zakupić komplet tropikalnego munduru wraz ze wszystkimi, niezbędnymi doń akcesoriami, jak hełm, moskitiery i t.p., a widząc na twarzy sprzedającego wyraźny uśmiech w stronę manager'a — uśmiech, zdający się mówić: a co? mówilem, wariat, jakiś spokojny okaz wariata — George pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Za parę dni udaję się do tropików, muszę mieć ekwipunek kompletny przed sobotą.

Manager spojrzął w stronę sprzedawcy, wyrażając mu niezadowolenie i nagane: co siejesz panikę, nie wariat, a zwyczajny klient, zaraz go tu sam odpowiednio ostrzygę, gdy już tu jestem, ty możesz odejść. Sprzedawca pod karzącym wzrokiem wycofał się za ladę, a sam manager, w układnych lansadach sprowadzał George'a po wysłanych dywanami schodach do położonych niżej części magazynu, tłumacząc się gorliwie:

— Towary nieszone wozem zazwyczaj trzymamy tutaj. Świetnie Pan zrobił zwracając się do naszej firmy, od kilku już lat specjalizujemy się w dostarczaniu naszym kochanym, dzielnym chłopcom "z trzech służb" wszystkiego, co im może być potrzebne.

George, z właściwą sobie dziecięcą szczerością chciał właśnie wyznać, że tylko brak czasu zmusza go do zwrócenia się do tak znanych źdździaków, jak firma Fox & Fox, ale w porę pohamował niewczesny przypływ szczerości. Manager, upojony nadzieją poważniejszej transakcji już go zasypywał stosami *short'ów*, koszulek, tropikalnych kurtek, już przymierzano mu tropikalny hełm i namię-

niał na zakup zapasowej pary moskitierów.

NA ODPRAWIE

Zaledwie George zdążył wejść do *briefing room'u* i zająć miejsce przy swej zalodze w wypełnionej po brzegi sali, weszli kierujący odprawą oficerowie: nawigacyjny, sygnałowy i administracyjny. *Briefing* odbywał się kolejno dla różnych tras lotów. Nazwy dalekich, egzotycznych miast spływały z ust oficera nawigacyjnego, a długa pałeczka, którą wskazywał o mawiane trasy, błędziła po wszystkich, najbardziej zakazanych kątach świata. Załogi samolotów... śledziły, jak pałeczka opuszcza się z mroźnej, śnieżnej zawianej Kanady, ku słonecznej Florydzie, przeskakuje stamtąd na wysnione wyspy Bahamskie, łańcuchem wysepiek opuszcza się wzdłuż legendarnego, stanowiącego postrach dawnych żeglarzy — Sargasso Sea, gdzie pono tajemnicze, z morza wypływające wodorosty otaczały okręty żaglowe, opłatały je zielonymi linami pnący i wciagały w niezgruntowane otchłanie. Po tem wzdłuż brzegów południowej Ameryki, mijając ujścia olbrzymich, po dziś jeszcze nie zupełnie zbadanych rzek, Orinoko i Amazonki, poprzez straszliwe brazylijskie *"inferno verde"*, pałeczka dochodziła do ostatniego *outpost'u* Brazylii: Natal'u. Przeskokowywały lekko przez Atlantyk, uderzała w brzeg Afryki, by poprzez 4000 mil dżungli, dotrzeć do jednego z najgorętszych punktów globu: Khartum'u.

Gdy oficer nawigacyjny skończył z jedną grupą, przechodziła ona w opiekę oficera sygnałowego, który wyjaśniał, gdzie i jakie pomoce radiowe będą dostępne, na tej długiej 16.000 mil liczącej trasie, zaś oficer nawigacyjny zwracał się do następnej grupy, składającej się z załóg samolotów... I znów pałeczka opadała w dół ku słonecznym stronom, tym razem ku zachodnim brzegom Ameryki, ku słonecznej ojczyźnie brzoskwiń, Kalifornii. Następnie, skacząc po odległych od siebie o tysiące mil wyspach Oceanu Spokojnego, pałeczka docierała... /O.K., panie cenzorze, O.K. już więcej nie mówię/.

Omawiając trasę grupy, która doprowadzała samoloty typu... pałeczka oficera nawigacyjnego ani na jedną chwilę nie opuszczała się w dół ku jasnemu, słonecznym krainom globu. Cały czas pozostawała ponad 50 stopniem szerokości północnej, w ponurej krainie mroźnej, zawieje i burz śniegowych, obłodzeń, mgieł i lęku. Ponad śnieżne pustynie Północno-Zachodniego Terytorium, ponad jeszcze bardziej groźne i nieznane pustacie gór Labradorskich, pałeczka dochodziła do najzimniejszego lotniska tej trasy do Goose Bay'u. Stamtąd przeskakiwała ku pustynnym, wiecznie spowitym w nigdy nieopniejący lód, lodowcom Grenlandii, by poprzez kręte fiordy wyjść na Północny Atlantyk. Stamtąd przeskakiwała ku puszystym, cieplejszym już, lecz za to okrywanej się często gęstymi mgłami, Islandii. Z Islandii już tylko niewielki skok ku zewnętrznym, Zachodnim Hebrydom i ku celowi lotu: Szkocji.

— Teraz uważaj George, nasza trasa idzie" — rzekł Julek zapalając swego ulubionego "Camel'a". Pałeczka oficera nawigacyjnego przemknęła szybko poprzez prowincję Quebec i Nowy Brunswick ku Nowej Fundlandii. Chwilę zatrzymała się u jej poszarpanych, wschodnio-południowych brzegów i opadła szerokim łukiem ku południowi, uderzając o jedną

z Wysp Azorskich. Wyspa była tak niewielkich rozmiarów, wydawała się tak zagubiona wśród bezmiarów oceanicznych pustkowi, że George pochylił się do Julka.

— "Czy potrafisz wylądować na takiej małej wyspie?" — w głosie jego przebiegał wyraźny niepokój.

— "Już jakoś wyląduję, tylko żebyś Ty ją odnalazł, bo to naprawdę jakiś niezbyt wielki kawałek 'mamy ziemi'".

Ale już magiczna pałeczka oderwała się od Azorów i sunęła ku Afryce. Przecięła jednym rzutem, całą, tysiące mil liczącą, Afrykę Północną i zatrzymała się u błękitnej kreseczki Nilu. Spoczęła chwilę na punkciku z napisem Cairo i pomknęła znów, poprzez Palestynę, ku dalszym niebieskim kreskom z napisem Tygrys i Eufrat. Chwilę znów spoczęła przy kółeczku: Habbania i zaczęła się opuszczać w dół, ku południowi, ku Zatoce Perskiej.

W miarę jak pałeczka coraz dalej dążyła na wschód, w sercu George'a rósł niepokój i trwoga. "Mocny Boże" — myślał — "alem się namotał" na przycięcie. I trzeba mi to było? Nie lepiej to by było siedzieć w zacisznym *Blackpool'u* i przeglądać urzędowe papiery? I awans by już na pewno do tego czasu dali, i dziewczynka by się jakaś trafiła; a już przede wszystkim nie musiałbym nawigować po tych pogańskich krajach, gdzie jeszcze żaden z moich przodków na pewno nie był. Na Azory, to zapewne trafię, pradziadek przecież był aż na San Domingo, Afryka, też jeszcze ujdzie, miało się stryjka w Legii Cudzoziemskiej — ale co ja będę robił w Bagdadzie? Po co mi się pchać w niepodległy Oman i jak się te wszystkie diabły wabia? Co ja będę szukał w Manipurze? Nigdy jeszcze mi żaden Japończyk krzywdy nie zrobił. Nawet ich kiedyś bardzo lubiłem".

Pałeczka zatrzymała się na kółeczku noszącym nazwę Manipur i już tak pozostała. Tu kończył się świat — i tu kończyła się odprawa. Do oficera sygnałowego George nie miał żadnych interesów. To już Tadek będzie sobie zapisywał znaki wywoławcze i długości fal tych wszystkich radiostacji, które napotkają na trasie liczącej 17.000 mil.

PIERWSZY ETAP

Montreal odpyła w dal. Już tylko widać goriejąca nad miastem kopułę katedry i małe mury nowego uniwersytetu. Za kilka chwil rozpływają się i one w ogarniającej wszystko bieli. Przez pierwszych kilkanaście minut lotu, rzeka świętego Wawrzyńca płynie równoległe do kursu i jej szeroka, granatowa wstęga jest jedyną plamą wśród pochłaniającej wszystko bieli śniegów. Potem rzeka odchodzi ku północy i samolot niesie się nad śnieżną pustynią. Ta część trasy jest wspaniale zorganizowana i co parę chwil Tadek podaje George'owi namiary licznych radiostacji. Powoli upływają minuty, łączy się w kwadrans, kwadrans w godziny. Na bieli merkatorskiej karty coraz bardziej ku wschodowi znaczą się krzyżyki *"fix'ów"*, które oznaczają posuwanie się samolotu.

Miarowo, równo grają motory, z jednostajnym, monotonnym szumem kręcąc się śmigła nawijając na swe potężne piasty w dziesiątki i setki liczących się nie przebytych mil. Opada poziom paliwa w zbiornikach i opada poziom kawy w termosie. To jest zupełnie naturalne — jak i zupełnie naturalne jest opadanie termometru zewnętrznego. W kabine nawigatora jest co raz mroźniej i George wkłada na siebie wszystkie ciepłe swetry, kurtki i kożuski, otula się nadto w *Mae West'ce* i zastanawia się, czy oprząż spadochronowa też nie stanowiłaby ochrony przed wiskającymi się wszędzie mackami mrozu. Ogrzewanie, jak zwykle, nie działa. Zresztą samolot jest przeznaczony do działań w tropikalnej Burmie, więc kłóży się w *Maintenance Unit* martwił, czy ogrzewanie działa.

Pod koniec trzeciej godziny lotu samolot wychodzi nad morze. George wie, że są już nad morzem, gdyż tak mówią mu namiary radiowe i tak wskazuje wykreślona na merkatorskiej karcie pozycja. Ale tam, w dole, nie zmieniło się nic. Była i jest, niezmienna, biała pustynia. Zatoła św. Wawrzyńca,

oddzielająca Nową Fundlandię od Kanady, jest o tej porze roku zamrznięta i zawiana śniegami, tak samo dokładnie i bez reszty, jak Quebec, Nowy Brunswick, Wyspy Księża Edwarda i Wyspy Piękne, które nazwę swą musiały chyba otrzymać od człowieka posiadającego wysoko rozwinięty zmysł gryzącej ironii.

Samolot leci nad zamrzniętą zatoką, w śnieżnej, pustej krainie, w bezludnych obszarach "białej śmierci". George przedstawia swój *inter-comm* tak, by mógł słuchać pracującego Tada. Te cichutkie, ledwie dosłyszalne tony kresk i kropek, to cichutkie da-di-da-da da-di-di-di da-da-di-da są obecnie jedyną nitką, wiążącą ich ze światem. Są jedynym łącznikiem pomiędzy ich samotnym samolotem a światem zorganizowanych lotnisk, gwarnych stacji, wesolych mess i ciepłych baraków. Wokół tylko biała pustynia.

Pod koniec czwartej godziny lotu linia horyzontu zaczyna łamać się w kontury dalekich, sinych łąk gór. To Nowa Fundlandia. Zbocza wysokich, skalistych gór są zbyt strome, by mógł się na nich utrzymać lód lub śnieg. Więc na białym tle odbijają się ich ciemne, prostopadłe prawie ściany, rzucając na tę białą krainę charakterystyczne cienie, niedające się z niczym porównać. Samolot leci nad pokrytą lasami, poprzecinaną przez setki rzeczulek, górzystą Nową Fundlandią, ku jej brzegom wschodnim, pełnym zatok, *creek'ów* i jezior drzemiących wśród wzgórz.

W miarę zbliżania się, sygnały stają się z każdą chwilą głośniejsze, aż zaczynają być tak głośne, że George wyłącza się z podsluchu. Długie jezioro, którego śniegiem pokryta powierzchnia, odznacza się wśród otaczających zewsząd lasów zwiastuje, że lotnisko jest już tylko o kilka mil. Już widać wznośzące się prostopadłe w niebo dymy i wielkie "x" wysypanych piaskiem *runway'ów*. Julek okrąży lotnisko, a Tadek prowadzi rozmowę z kierującą ruchem lotnikowym wieżą. Otrzymałszy zezwolenie lądowania, mówi:

— "Julek, możesz lądować, *runway* numer dwa".

Julek odchodzi od lotniska, wchodzi na kierunek, opuszcza podwozie, klapy, przymyka gaz i potężna, 60.000 funtowa, masa metalu, w jego wprawnych rękach dotyka gładzi *runway'u* miękko i lekko. Potężne koła toczą się chwilę po posypanym piaskiem śniegu, wytracając rozbięte i poddające się posłusznemu działaniu hamulców. Przed samolotem pojawia się, jak spod ziemi, maleńki "jeep" na którego tylnej ścianie widnieje napis: *Follow me!* Posłusznie, potężny "Liberator" kołuje za maleńkim *jeep'em* w stronę wielkich hangarów. Za chwilę motory są już wyłączone i wielka cysterna rozpoczyna swą mozolną pracę pojenia naszego "Liberatora" paroma tysiącami galonów paliwa.

Załoga udaje się na posiłek. Gandar, jak i wszystkie prawie wielkie stacje *Transport Command*, jest zorganizowany na zasadach prawdziwie demokratycznych. Załogi, bez względu na stopień, razem spożywają posiłek, piją w tym samym barze i śpią w tych samych pokojach.

George, obserwując, jak przy sąsiednim stoliku jedzą razem: kanadyjski *Wing-commander*, *Flying Officer* i dwóch sierżantów — żaluje mocno, że scenki tej nie może zobaczyć pewien angielski oficer, który kiedyś, zwrócił George'owi uwagę w Oxfordskim "Randolph Hotel'u", że oficer mający Królewską komisję */commission/* nie może pić razem z sierżantem. Było to tegoż dnia, gdy ich *bloody "Blenheim"* w spotkaniu z dwoma "Junkersami 88", zapalił jednego z nich, a drugiego zmusił do ucieczki. Sierżant, z którego George tak "un-correct and un-English," demokratycznie popijał, był jego strzelcem i obaj celowali swe pierwsze zwycięstwo. "Jakaż szkoda — myślał George — że ten stary beczwał, nie może zobaczyć, jak powinni żyć ze sobą ludzie, którzy razem pracują".

Po posiłku udają się do meteorologów. Pogoda jest bardzo dobra i Julek postanawia dziś jeszcze startować w dalszą drogę. Tadek, który za poprzedniej swej bytności w Cairo, podbił serce ja-

kiejś uroczej "Pestki", gorąco go popiera. George jest więc przegłosowany i idzie na parę godzin spać. Niestety, za ścianą pokoju, ktoś obchodzi swój "birthday" i o spaniu mowy nie ma. Wychodzi więc na lotnisko, zobaczyć, jak "fighting Yankees" startują na swych "latających fortecach" do Anglii.

Zwiedziwszy kilka amerykańskich fabryk, obejrzawszy taśmową produkcję i zapoznawszy się z amerykańską organizacją pracy, George postanowił sobie, że nie będzie się nigdy dziwił na widok tego, co potrafi zrobić wesołe, rozśmiane *Yankee*. Uwierzył, że ci chłopcy naprawdę: "trudne wykonują natychmiast — niemożliwe zabiera im trochę więcej czasu". Ale obserwując ten start — mimo woli zaczął się dziwić. Co minutę odrywała się od ziemi potężna maszyna i gnała po gładzi *runway'u*, wielkimi oponami kół rozpływając kaskady białego śnieżnego puchu. Potem koła toczyły się lekko, co raz lżej, już jakby tylko muskając białą gładź i potężna masa metalu odrywała się od ziemi, wpływając w ocean powietrza. Jeszcze jedna maszyna nie kończyła swej rundy nad lotniskiem, gdy już następna dodawała gazu. Gdy pierwsza maszyna brała kurs na daleką o przeszło 2000 mil Anglię, już druga leżała pochylona w rundzie okrążając lotnisko, w tej samej chwili trzecia dodawała gazu a czwarta dookołowywała do linii startu. Tak startowały do swego trans-atlantycznego lotu: jedna, druga, dziesiąta, dwudziesta, czterdziesta.

Odprowadziwszy wzrokiem ponad pięćdziesiąt maszyn, George zaciekawiał się regularnością ich startów. Postanowił je sprawdzać na swym nawigacyjnym chronometrze. Najłatwiej było uchwycić chwilę, gdy pilot dodawał gazu ruszając do startu. Odstęp między 60tą maszyną a 61szą wynosił 58 sekund. Odstęp między 61szą a 62gą wynosił 60 sekund. Odstęp między 62gą a 63cią wynosił 59 sekund. Sprawdziwszy odstęp następnych dwudziestu maszyn i przekonawszy się, że wahają się w granicach od 57 do 61 sekund, znużył się zbyt już jednostajnym cudem sprawności i nie obserwował dalszych startów. Szlak Lindbergh'a został utarty. Teraz do lotu przez Atlantyk startują setki samolotów, startują w odstępach czasu około 60 sekund. Raz jeszcze nieprawdopodobne stało się prawdziwe i trzeba było oswoić się z myślą, w którą jeszcze niedawno niepodobna było uwierzyć.

NAD OCEANEM WODY I CHMUR

Zapadł wczesny mrok i przeszedł w czerń nocy. Rozbłysły białe światła *flarepath'u* i zamigotały pomarańczowe gwiazdy światła przeszkodowych, umieszczonych na szczytach masztów radiowych i na dachach hangarów. Jeszcze wyżej, ponad czernią otaczających lotnisko gór, zamigotały złotym ogniem, na granatowym tle jasnego nieba miliardy wyiskrzonych gwiazd.

"Liberator" dookołuje do początku jasnych nitek *flarepath'owych* światła. W *inter-comm* słychać spokojny głos Julka — "Startuję".

Światelka odchodzi ku tyłowi. W miarę jak samolot nabiera pędu, światelka zaczyna biec ku tyłowi, biegnąc coraz szybciej, szybciej. Ukazują się i znikają w pędzie. Już zaczynają znaczyć się jak prawie nieprzerwana nić. Już pędzą na spotkanie, ostatnie, czerwone światła, znaczące koniec lotniska. Pędzą, zbliżają się, nadlatują. Julek ściga volant ku sobie i "Liberator", potężna masa ponad 60.000 funtów, odrywa się od *runway'u*, by przejść o kilka stóp nad czerwonymi światelkami. Powoli wdrapuje się na wysokość. Jedno okrążenie, drugie, trzecie.

— "George, jaki kurs?"

— "Kurs 164 stopnie — dlaczego miał taki długi start?"

— "Kurs 164 stopnie — cóż chcesz? wiatru nie było, a grą przeciążony 'tylko' o parę tysięcy funtów — dobrze, że się w ogóle oderwał".

W kilka minut po starcie samolot wychodzi nad morze. Teraz przez wiele, wiele godzin będzie tylko to morze, morze i gwiazdy. Prawda, będą jeszcze wiatry, różne, niewiadome, niedające się

DZUNGLA Cz. I.: Ocean

nigdy przewidzieć przez meteorologów, więcej z różnych kierunków, różnej siły, zmienne zależnie od wysokości i zmienne w miarę posuwania się na południowy wschód. Będą spychały samolot jego tracku, będą przyspieszały lub opóźniały jego szybkość. Będą teraz główną troską nawigatora przez szereg długich, długich godzin lotu.

Na wielkiej karcie merkatorskiej, wśród bieli czystego papieru, który przedstawia niezmiernie obszary Oceanu, czernieją kilka drobnych punkcików. Azory — wyspy: Fayal, Pico, Graciosa, Terceira, San Jorge i Miguel. Na jednej z nich, na... znajdują się ich lotnisko. Jeśli nie wyjdą na wyspę, do Afryki nie wystarczy paliwa, tym bardziej nie wystarczy go na powrót do brzegów Ameryki. Jeśli się nie chce pływać w Oceanie należy odnaleźć wyspę.

George przystępuje do pracy. Spokojna cicha noc, gwiazdami wyskroczone niebo, lecący równo, statecznie, bez kołysań i rzucań samolot, zdawało by się stwarzają idealne warunki do namiarów na dalekie, srebrne gwiazdy, wpięte jak wielkie kotylionowe orderki w jasną akksamitną suknię nieba. Tylko ten sam mróz, który tak cudnie wyiskrzył gwiazdami niebo — zwraca się przeciwko polującemu na gwiazdy nawigatorowi. Zimne soczewki sekstansu, wbudowane w okular, w zatkanie się z gorącym czołem, zachodzą mgłą i uniemożliwiają patrzenie. Ręce w rekawczkach są niezgrabne i nieudolnie wykonują najprostsze, najmniej skomplikowane ruchy. Rozpoczynają się przeróżne próby. A więc ogrzać sekstans, ale to, pomimo usiłowań, zawodzi. Ochłodzić czoło i twarz, ale przecież są i tak zupełnie zimne i kto wie, czy policzki i nos nie są już odmrożone. A przecież w zetknięciu się oka z okularzem, okular zachodzi mgłą. Nie odychać; to oddech osadza się na okularze — wpada na trop George. Wstrzymuje więc zupełnie oddech, przysuwa sekstans do oczu — i znów okular zachodzi mgliem.

Opuszcza się z *astro-hutch'u* do kabiny — i w tym szybkim ruchu odnajduje przyczynę niepowodzenia. Oczywiście. Temperatura w kabynie, choć i tak poniżej minus 15 stopni, jest na pewno o kilka stopni wyższa niż temperatura w *astro-hutch'u*. Sekstans poci się i zachodzi mgłą nie pod wpływem zetknięcia się z twarzą lub oddechem, lecz po prostu przeniesiony z jednej temperatury do drugiej, zachodzi mgłą, gdyż... George'owi przypominają się, słowa komandora P. ze Szkoły Morskiej. "W gimnazji był? Uczycie uczyli? Uczyli. Tak i stosować wiedzę, Panie, nie gadać, pisać, uczyli? Tak i pisać". "Uczyli, tak i stosować wiedzę" — myśli George zawiązując sekstans w *astro-hutch'u*, by się "osowić" z panującą tam temperaturą. "Niech tak sobie powisi z 10 minut" — myśli George i spogląda na zegarek. — "Ładny kwiat — myśli — to ja już godzinę męczę się z tym pocącem się bydlakiem, a samolot idzie na łascie Boskiej i inteligencji pilota. A wiatarki tu wieją nie najgorsze, 80 mil na godzinę to szczytniak, czasem bywa i ponad 110 mil".

Po upływie dziesięciu minut George zbliża się do zawieszzonego w *astro-hutch'u* sekstansu, jak zbliżał się królówic do zaczarowanego w królewne smoka: ostrożnie. Wstrzymując oddech zagląda przez dziurkę /okular/, patrzy — miliardy gwiazd świecą się jasnym srebrnym blaskiem. Nareszcie. Ponieważ nie może znieść sekstansu do cieplejszej kabiny, do światła, musi więc jeszcze światło przynieść tu, do sekstansu. Zupewnie jak z Mahometem i górą. Nie chce sekstansu do światła — musi przynieść światło do sekstansu. W kilkanaście minut potem, pierwszy *fix* czerni się krzyżkiem, wysownym na biel merkatorskiej karty. Ze co proszę? Czy bardzo daleko od *track'u*? Julek wie, George wie — a czytelnicy wiedzieć nie potrzebują i mówić o tym nie trzeba.

Popijając gorącą kawę z termosa, George odpoczywa po wkręceniu już piątego, z kolei *fix'a*. Kawa go ogrzewa tak bardzo, że mimowoli rzuca okiem na termometr. Temperatura podniosła się do minus 8 stopni. "Prawda, lecimy

przebież na południe" — myśli. Zaraz skończy się piąta godzina lotu.

Gwiazdy już przebyły większą część swej nocnej drogi i sklepienie niebieskie jakby określiło się wokół swego centralnego punktu, to jest Polaris. Ale i Polaris nie jest jakby w tym samym już miejscu. W miarę lotu na południe, wysokość jej nad horyzontem obniża się. Na biegunie wynosi 90 stopni, na równiku wynosi zero. W chwili obecnej wynosi już tylko 46 stopni i zmniejsza się w miarę lotu ku południowi. Te dalekie, srebrne gwiazdy, to jedyne punkty zaczepienia, jedyne punkty wskazujące, że samolot zawieszony w ciemno-granatowej kuli nieba — jednak się porusza, że nie zawisł w tej przesyconej światłem dalekich gwiazd przestrzeni pomiędzy morzem a niebem.

Szоста godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papieros. Siódma godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papieros. Ośma godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papieros.

George'owi przypomina się niedawna rozmowa z jedną z kanadyjskich pań: — "Jakież to cudne takie latanie po calutkim świecie, ileż w tym musi być uroku, co bym dała, za taki lot na Azory". — "Nie mogę pani niestety zabrać za sobą, ale mogę pani wskazać drogę do odczuwania tych wszystkich zachwytnych, tego całego uroku, jaki jest naszym udziałem, podczas trans-atlantycznych przelotów" — "Doprawdy? Jak mogę to poznać?" — "Proszę wynieść krzesło na balkon, ubrać się ciepło, wziąć wiele papierosów i termos z kawą, zgasić w pokoju światło, wyjść na balkon i całą noc przesiedzieć /krzesło ma być twarde, nie fotel/, patrząc na gwiazdy. Zobaczysz pani dokładnie to samo, co widzę ja podczas swoich przelotów. Dla pełniejszego efektu radzę wybrać mroźną noc".

Dziwiątą godziną lotu przynosi lekkie zaróżwienie się wschodniej polaci nieba. Brzask staje się coraz silniejszy i można już rozróżnić, tam, w dole, o parę tysięcy stóp pod samolotem, ścielący się stęp białych, puszystych cumulów. Samolot leci nad białym stępem obłoków, pod jaśniejącym i bielejącym z każdą minutą niebem. Gwiazdy bledną i stają się coraz niewyraźniejsze, rozplywają się w jasności przedświt.

Na prawo od *track'u*, ponad stęp białych obłoków wystrzeliła wysoka czarna, spiętrzona w niebo masa. Czernieją na tle białych obłoków, już lekko zaróżwionych wstającym światem, potężny masyw ciemnych skał. To Pico najwyższy /i jedyne/ szczyt górski na wchodzącej w grupę wysp Azorskich, wyspie Pico. Jak wzniesiona ręka Boga, potężna morska latarnia, wyrasta z bezmiernej równiny Oceanu, wznosząc swój samotny, wечно chmurami okolony wierzchołek aż na wysokość 9000 stóp. Wysokość 9000 stóp, nie jest niczym nadzwyczajnym w krajach, gdzie są jeszcze inne góry, gdzie istnieje skala porównawcza. Ale tu, oko przyzwyczajone do bezmiernych równin Oceanu, napotykając szczyt wysoki na 9000 stóp, wyobrzyłmia jeszcze, tę i tak znaczną wysokość do rozmiarów podniebnej iglicy. Z samolotu widać tylko sterczący na parę tysięcy stóp wierzchołek — reszta góry tonie w obłokach, które szczerze otuliły cały Azorski archipelag, nie sobie nie robiąc z przepowiadnej meteorologa, który zapewniał, że będą liczne i obszerne "okna" pozwalające na bezpieczne przebieżenie chmur.

George podaje kurs, który prowadzi w morze, omija wszystkie mogące się znaleźć na drodze przeszkody w postaci skalistych wysepek.

"Julek, możesz przebieżać". Cichnie o parę tonów jednostajny szum motorów. Julek schodzi na przymkniętym gazie. Samolot zbliża się do białej, lekko pofalowanej powierzchni, stępu obłoków. W blaskach wschodzącego słońca, nasyconie nisko padającymi promieniami cumulusy wydają się zupełnie stałą i mocną, że zdawało by się, że można by wylądować na tym białym stępie obłoków. Ale z chwilą gdy "Liberator" dotyka ich powierzchni, rozstępują się i ogarniają go białą miękkością jak wa-

ta. Okienka kabiny sperlają się roszą. Wysokościomierz łagodnie lecz stale wędruje w lewo: 6400 stóp — 6000 — 5600 — 4800 — 4000 — 3600 — 3200. A jeżeli dolna podstawa chmur sięga samej powierzchni morza? Samolot leci w miękkiej, puszystej wacie obłoków. Strzałka wysokościomierza już przekroczyła 2000 stóp i wciąż posuwa się w lewo. 1800 — 1700 — 1600 — 1500. Biała zasłona ani myśli utracić cokolwiek ze swej gęstości, ani jej to w głowie, by zrzednąć i wypuścić ze swych wiatowych zwojów schodzący ku morzu samolot. W *inter-comm* słychać spokojny głos Julka:

"Czy mają urządzenia do lądowania na Lorentz'a?" /na ślepo, bez widzialności ziemi/.

"Nie, skądże by tu mieli mieć Lorentz'a, nie mają".

"No, to musimy jakoś przebież na wzrok" mówi Julek. Jeśli Julek mówi, że coś musi być zrobione, dla nikogo z tych, co go bliżej znają, nie ulega żadnej wątpliwości, że będzie zrobione. Jeśli pomiędzy podstawą chmur a powierzchnią morza jest kilkanaście stóp wolnych od tej białej waty, Julek zmieści swego olbrzymiego, 60.000 funtów ważącego "Liberatora" w te kilkanaście stóp i doprowadzi do lotniska.

Wysokościomierz opada w dalszym ciągu: 1200 — 1000 — 900 — 800 — 700 — 600. A jeśli nie ma nawet tych kilkunastu stóp? Zza kołnierza lotniczej kurtki George'a wylażał maleńki demonik strachu i podszeptuje swe rady. George wie, że rad tych słuchać nie wolno, gdyż są one najbardziej zgubne, prowadzące wprost ku katastrofie. Odpędza więc pokusy demonika, który radzi, by zaprzestać schodzenia i powrócić znów nad chmury, na wysokość 7000 stóp. A jeśli nie ma nawet tych kilkunastu stóp? — podszeptuje uparty demonik.

Gdy wysokościomierz wskazuje skromną, lecz zupełnie wystarczającą na potrzeby "Liberatora" cyfrę 300 stóp, samolot wychodzi z białej waty obłoków. W dole przecinają się długie, wysokie góry rozkołysanej powierzchni Oceanu.

"Julek, steruj kurs 185 stopni, za pięć minut będziemy nad lotniskiem. Wysokość lotniska nad poziom morza 250 stóp, po prawej stronie lotniska są góry, o wysokości 2000 stóp, po lewej..."

"Dziękuję ci, nie męcz się, mam plan lotniska przed sobą".

Widzialność jest bardzo ograniczona i wyspa ukazuje się dopiero, gdy są od niej w odległości sześciu mil. U stóp szarych skał, pieni się kipieli strasliwego przyboju. Rozkołysane na swej długiej, tysiące mil liczącej drodze, potężne góry wodne, uderzają w te zastępujące im drogę skały całym rozpe-dem swej niezmierniejszej siły, nabytej w tysiącach mil nieprzerwanej wędrówki. Odbite od niewzruszonych skał, rozpylone w tysiące odprysków, porwane w tysiące kaskad spływają od niezdojbytego brzegu ku morzu. Lecz zanim zdążą spłynąć, już idzie atak następczej góry wodnej. Spływające rozbitki pierwszej fali porwane naddiegającą masą wód, dołączają do następnego ataku. Odbite ponownie od niewzruszonych skał, spływają znów, by po chwili znów ruszyć do szturm. I tak trwa ten nieprzerwany atak oceanicznych olbrzymów na skaliste brzegi wyspy... od tysięcy, tysięcy lat. Nigdy nie uspakajająca się, biała kipieli pieni się u skalistych brzegów. Płaty białych pian, porwane wiatrem, wirują nad tym wieczystym pobojuwiskiem, gdzie niewzruszoną granitowi walczą z furją ataku idących tak od tysięcy lat oceanicznych grzywaczy.

NA AZORSKIM LOTNISKU

"Liberator" przelatuje nad białą powierzchnią kipieli i przechodzi ponad przykucniętym między górami lotniskiem. Lotnisko jest położone na cyplu wyspy i koniec lotniska jest jednocześnie końcem cypla. *Runway* zaczyna się nad brzegiem morza i nad brzegiem morza się kończy. Pilot, który "presmaruje" lotnisko — już nigdy i nikomu nie opowie, jak i dlaczego. Żadna siła już nie wydobędzie załogi, która dostanie się w tą strasliwą morską przepaść. Julek starannie przymierza się do lotniska. Jedno okrażenie, potem drugie. Tadek rozmawia z "tower'em" i otrzymuje zezwole-

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

nie na lądowanie:

"Możesz lądować, Julek — mówi.

Julek znów odchodzi w morze, wychodzi starannie na kierunek. Kabina zadrgała od wstrząsu — to hydrauliczne pompy wypchnęły i zamocowały podwozie w pozycji do lądowania. "Liberator" zakłócił się, jakby zaważał, wytracając szybkość — to Julek opuścił klapy i jeszcze bardziej przymknął gaz. "Liberator" przelatuje nad linią przyboju, białe, niesione wiatrem płyty pian, wylatują prawie na wysokość przelatującej maszyny. Zbliża się linia brzegu i jednocześnie początek *runway'u*. Potężne koła niosą się na parę stóp nad jego powierzchnią, opuszczają się do stopy, półstopy, kilku cali, aż docierają do metalowej siatki, z której tu zbudowany jest *runway*. Rozlega się strasliwy pisk i zgrzyt i łomot i szczęk — poprzez pracę motorów przebiega strasliwy jazgot metalowej sieci. Jest to pierwsze lądowanie George'a na takim metalowym *runway'u* i jego pierwszą myślą jest, że "Liberator" rozspjuje się i że to tarcie blach kadłuba powoduje ten piekielny jazgot.

Rozpedzone koła poddają się w końcu działaniom hamulców i szybkość opada. Jazgot cichnie. Przed samolotem znów rozciąga się pofalowana w wysokie fale powierzchnia Oceanu. "Liberator" przeszedł prawie cały *runway* i zatrzymuje się na paręset stóp przed jego końcem, za którym jest znów bezmiar wodnej pustyni.

"Aleśmy urządzili koncert cymbałkowy, w piekło musiało być słychać" — stwierdza Julek, kołując za samochodem, który pojawił się przed samolotem, by skierować go na właściwy *dispersal point*.

Azory są cudnym archipelagiem cudnych wysp. Ale wyspa... na której znajduje się lotnisko składa się tylko z trzech elementów: skał, glinki i metalowych sieci. Jeśli dodać, że deszcz pada codziennie i to przez kilka godzin dziennie — otrzymuje się pełen obraz tej wyspy. Chodzić można albo po metalowych sieciach, albo drapać się po skałach.

Biada nowicjuszowi, który zawierzy dobrodusznemu wyglądającej glince. Najgorsze kałuże i bajora wojewódzkiego miasta Nowogródek są dziecinnie igraszką w porównaniu z gliną, jaka zalega nie pokryte siatką polacie wyspy. Po tańczącej, pryskającej wodą, lecz utrzymującej się na powierzchni glinki, siatce wiezie samochód załoga na śniadanie. Obsługa lotniska mieszka w namiotach rozbitych na stoku góry i na twardszym już gruncie. Ale gdy pada deszcz /a kiedy nie pada?/, strumyki wody ściekającej po zboczach, zliobią sobie w namiotach głębokie koryta i zapewniają ich mieszkańcom komfort bieżącej wody. Jest to zresztą jedyny, dostępny na wyspie... komfort.

Messa należy do *Transport Command* i jest demokratyczna, załogi jedzą razem i nikt nie segreguje nas na lotników pierwszej i drugiej klasy. Po spoczynku śniadania pokazują nam namiot, gdzie możemy spędzić cały dzień i ewentualnie noc. Ale pomimo zmęczenia, — od chwili opuszczenia Kanady upłynęło już pełnych 24 godzin, z czego ponad 15 godzin w powietrzu — rezygnujemy z gościnności i zaopatrzonej w bieżącą, deszczową wodę namiotów i wracamy do samolotu. Jeżeli w ciągu godziny uda nam się wystartować, dziś jeszcze, przed zachodem słońca będziemy w Rabat.

Stacja jest mieszana: amerykańsko-angielska i *ground-crew* /mechanicy/, są również pomieszani. Julek otrzymał właśnie amerykańską obsługę i zmobilizował swą najlepszą angielszczyznę, stara się wytłumaczyć amerykańskiemu sierżantowi, przyczynę pośpiechu i co należy uzupełnić w samolocie. Sierżant słucha angielskiego gadania i obojętnie żuje gumę. Dopiero gdy Julek zrzuci swą futrzaną kurtkę /marcowy azorski deszcz nie jest zbyt ciepły/ i zostaje w mundurze, twarz sierżanta ożywia się:

"Bądź spokojny, poruczniku, wszystko się zrobi na czas" — odpowiada doskonałą polszczyzną. — "Moja cała Brygada, to wszystko polskie chłopaki — jest nas tu bardzo dużo Polaków".

Załogi, powietrzna i ziemna, należą do różnych armii, powietrzna nosi Błękit Królewskiego Lotnictwa, ziemna, khaki koszulki Armii Amerykańskiej, ale obie rozmawiają tym samym językiem i obie dogadują się do tych samych stron, skąd pochodzą ich rodzice. Na dalekich, egzotycznych Azo-

rach, lotnicy w angielskich i amerykańskich mundurach, przerzucają się znajomymi dźwiękami: Miechów, Przedbórz, Rzeszów, Stanisławów, Wilno.

Godzina, której potrzebują pompy wielkich samochodów — cystern, aby przepompować w zbiorniki "Liberatora" parę tysięcy galonów paliwa — upływa szybko na miłej pogawędce z amerykańskimi rodakami. Jak i wszyscy amerykańscy rodacy, tak i oni, mają szczerze, gościnne, hojne serca i załoga musi się wprost bronić przed wciskanymi jej podarunkami. Sami przeglądają nasze wyekwipowanie, o ileż uboższe od wyekwipowania Armii Amerykańskiej i z miejscą uzupełniają wszelkie, według ich opinii, braki. Zaopatrzona sociewic załoga, żegna się z gościnnymi gospodarzami. I tu następuje chwila, która jest charakterystyką amerykańskiego żołnierza, która czyni go odmiennym od wszystkich żołnierzy innych armii.

"Mówię, Wy pewno będziecie wracali przez Stany".

"Przypuszczam, że wrócimy — przez Stany" — odpowiada George.

"Czy mógłbyś zatelefonować do mojej matki w Buffalo? Nie mów jej gdzie jestem, tego nie wolno, widzisz, ale powiedz mojej matce, żeś mnie widział zdrowego. Matka się tak ucieszy".

Takie same próśby mają i inni i ta miłość do dalekich, pozostawionych za Oceanem matek jest charakterystyczna dla amerykańskiego żołnierza. Zawsze, ilekroć się dowie, że wracasz do Stanów, zawsze poprosi, byś pozdrowił jego matkę. Należy ci czekolady, papierosów, gumy do żucia, włoży ci do samolotu parę butelek Coca-Cola — i w zamian poprosi tylko o jedno. Zawsze o to samo. Czasem, rzadko, wspomni o swej siostrze — "Zebys ją widział — to jest dopiero jagnię /kid!/. Jeszcze rzadziej wspomni o swej dziewczynie, która zazwyczaj jest "wspaniała /swell/. Ale o matce powie ci zawsze. Pokaże ci jej fotografię, wyjmie jej list.

George właśnie trzyma taki list w rękach. Ojciec Stanley'a jest Polakiem, matka Ukrainką. Stanley ukończył "college" i słabo już mówi językiem rodziców. Więc matka pisze doń list po angielsku, ale pisze go ruskimi literami, kirylicą. Dziwnie wyglądają te słowa: *My dear Son* — skreślone literami cerkiewnej kirylicy. Stanley się cieszy, że George umie czytać "po ruskich literach" i George musi przyrzec, że zatelefonuje do matki Stanley'a i po ukraińsku powie jej, że Stanley jest zdrow i że do brze mu się wiedzie na wojnie.

Tacy oni są, ci amerykańscy chłopcy. Może trochę za głosiń, może zbyt bezpośredni, może czasem drażni ich zwyczaj wiecznego żucia gumy, ale jeśli jakaś armia może się poszczycić, że ma żołnierza o dobrym, kochającym pełnym miłości i gotowym do ofiary sercu — to właśnie Armia Amerykańska. Przy żołnierzu amerykańskim nie możesz powiedzieć, że ci czegokolwiek brak — zaraz ci odda swoje, nawet, gdyby sam miał już pozostać bez możliwości kupienia sobie ofiarowanego hojnym sercem przedmiotu. A jeśli porozmawiasz z nim chwilę, zaraz ci opowie o swej matce, którą pozostawił w Stanach i za którą tęskni jego pół męskie, pół chłopięce serce.

Pożegnawszy amerykańskich przyjaciół, załoga idzie do samolotu. Julek zapuszcza motory. Wstępuje się w ich równą, miarową grę. Pożegnalny ukłon w stronę powiewającej ku załodze obsługi ziemnej i samolot kołuje na początek *runway'u*.

"Możesz startować, Julek" — mówi Tadek otrzymawszy sygnał z "tower'u".

"Startuję" — odpowiada spokojny zawsze głos Julka.

Julek dodaje gazu i znów rozpętuje się piekło strasliwego jazgotu i zgrzytu metalowej siatki. Potem strasliwa kakaofonia milknie. "Liberator" oderwał się od *runway'u*. Na wysokości kilkudziesięciu stóp wychodzi nad morze. Powoli nabierając statecznie wysokości, Julek okrąży lotnisko. Gdy są na wysokości 2000 stóp, George bierze do ręki mikro:

"Julek, kurs na Rabat 125 stopni".

"Steruję 125 stopni". Wyspa skał, glinki, metalowych siatek, deszczu i chłopców o złotych sercach odpływa ku tyłowi, wkrótce znika w porannych, przymorskich tumanach białych cumulusów.

BOLESŁAW POMIAN

Stoję na belgijskiej granicy.
Dokoła mnie cudowna zielen
pól, nade mną przepiękne niebo,
pełne mocnych barw zachodzącego
słońca.

Odwracam głowę na zachód.
Mój Boże! Jakże daleko do Caen!
Jak daleko do Falaise!

A teraz spojrzenie na wschód:
Mój Boże! Jakże daleko do Wil-
na!

Tak, myślę właśnie o Wilnie,
stojąc na belgijskiej granicy.
Właśnie tam, w Wilnie, w roku
1940-ym — na próżno starałem się
zdobyć wizę belgijską — na
próżno jeździłem do Kowna, do
konsulatu belgijskiego.

A teraz jakże łatwo przekroczy-
łem granicę tej zakazanej dla
mnie ongiś ziemi! Po prostu prze-
jeżdża się granicę *jeepem*. Żadnej
kontroli, żadnych pytań. Pusto.
A w najbliższym miasteczku bel-
gijskim na widok Polaka zerwa
się radosne okrzyki. Pełno jest
w *jeepie* kwiatów z Francji. Za
chwilę powita nas Belgia kwiatami.

Tragiczne granice, zielone gra-
nice polskich wędrowców! Myślę
o was dotykając nogą, bez żadnych
obaw, belgijskiej ziemi . . .

W Ypres wygasają strzały noc-
nej walki. Na ulicach stłoczeni,
nieprzytomni ze szczęścia ludzie.
Z nad morza głów, jak małe wy-
sepki wyglądają wieże polskich
czołgów. Na tych czołgach, na
działach, na karierach — dzieci
i dorośli, wszyscy razem złączeni
pragnieniem uściśnięcia ręki
oswobodzicieli. Skąd ci ludzie na-
brali tyle kwiatów? Kwiaty sypią
się zewsząd. Nie słychać pojedyn-
czych okrzyków. Jest tylko jeden,
pożęny, nieustanny krzyk tłumu.
—Mer! Mer idzie!

To na chwilę odwraca uwagę od
żołnierzy. Tak, idzie mer w histo-
rycznym, flamandzkim stroju.
A ten żołnierz obok — to generał,
polski generał, który oswobodził
Ypres!

Prawo i wolność wracają do
Ypres. Drzwi do tej wolności o-
partej na prawie otwiera generał
Maczek, wprowadzając mera, by-
łego zakładnika Niemców, do ratu-
sza.

W chwilę potem generał Maczek
kładzie swój podpis w pamiątko-
wej księdze miasta. W tej samej
księdze podpisał się w Ypres w ro-
ku 1918 marszałek Foch, naczelny
wódz wszystkich armii sprzymie-
rzonych.

Szybko przeszli Polacy przez
Ypres. Miasto, udekorowane fla-
gami polskimi i belgijskimi, opu-
stoszało nagle, przypominając
swoim wyglądem otwartą scenę,
na której odegrany został ostatni
akt historycznej sztuki. Jesteście
wolni, mieszkańcy Ypres! Wzię-
liście wolność z rąk polskiego
żołnierza jak dojrzały owoc. Żoł-
nierz ten nie miał czasu, by dzie-
lić z Wami waszą radość. Odszedł,
by walczyć dalej. I może tylko,
w jego oczach, pozostał jasny
odblask Waszego szczęścia.

Pod bramą-pomnikiem, wznie-
sionym w Ypres ku czci poległych
Brytyjczyków, przejeżdżają pol-
skie czołgi. A dalej — ciągną się
wielkie cmentarze wielkiej wojny.
Tysiące krzyżów spogląda na prze-
marsz polskich wojsk. A więc zno-
wu? — pytają krzyże. Znowu
wracacie do nas w blasku pożarów
i huków dział?

Dalej, dalej od tych cmentarzy!
Niechże czym prędzej powróci na
nie cisza śmierci. Niech śpią u-
marli, wierząc, że ich wielka ofiara

Walczymy o wolność Belgii

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")



Czołgi Dywizji Panczernej w akcji

i krwawy trud życia nie poszły na
marne!

Hej, a nasi już pod Roulers!
Jedną pozycję po drugiej, dom po
domu zdobywa polska piechota.
Noc rozświetlają pożary, błyszczą
na niebie kolorowe różańce paci-
sków, jazgocze śmieć w karabi-
nach maszynowych. Ale nasi idą.
Zawzięcie, uparcie, idą naprzód!

Granatami po bunkrach! Seria
w ten dom! Jeszcze skok, jeszcze
dwa!

—Kamerad! Kamerad! Stop
fire!

—Wylądź! Ręce do góry!

Z bunkrów wylażą chwycący się
Niemcy. Polskie bagnety, twarze
czarne od dymu, oczy błyszczą wal-
ką — wyglądają groźnie. Jakis
wykończony nerwowo Niemiec pa-
da na kolana.

—Kamerad! Nie zabijać, nie

zabijać . . . — krzyczy.

—Wstawaj, marsz do tyłu!
Wszyscy do tyłu!

Ale w centrum miasta jeszcze
walka trwa. Już dudnią gasienice
karierów po bruku.

Kule świszczą wszędzie. Chwi-
łami wydaje się, że jakiś olbrzym
potrząsa całym miastem. Dźwię-
czą rozbite szyby, tynk opada ze
ścian.

W tym piekielnym ogniu do ka-
riera dowódcy dopada jakiś Fla-
mandczyk. Początkowo dowódca
nie rozumie o co chodzi. Ale Fla-
mandczyk trzyma w ręku butelkę
koniaku.

—Cztery lata chowałem ten ko-
niak — krzyczy — cztery lata!
Przysięgam sobie, że go wypiję
z pierwszym żołnierzem Sprzymie-
rzonych, który wkroczy do mia-
sta!

—Jeszcze zawczesnie, zaczekaj
pan! — tłumaczy pułkownik.

Schowaj się pan do domu!

—Teraz albo nigdy! — upiera
się Flamandczyk.

Na szczęście walka dobiega koń-
ca. Jest godzina trzecia w nocy.
Niemcy rezygnują z dalszego opo-
ru. Maszerują w długich kolum-
nach z ramionami podniesionymi
do góry. Część dźwiga rannych.
Zamknięte naглуcho domy o-
twierają się nagle. Zewsząd pę-
dzą tłumy ludzi. Jakis Belg otwie-
ra restaurację, zaprasza żołnierzy.

—Wszystko bezpłatnie! — krzy-
czy.

Panie gotują kawę. Inne krą-
żą wśród żołnierzy opatrując małe
rany i skaleczenia. Nie ma mowy,
aby zmęczony żołnierz usiadł na
chwilę. Radość i gościnność Bel-
gów nie mają granic. Wszystko
dla Polaków!

Trudno jest nawet policzyć
sprzęt, który Niemcy zostawili na
polu walki.

„Leve den Polen”

Minęły tonące w kurzu pust-
kowiach zachodniej Normandii, wy-
ludnione doszczętnie, ciężko oka-
lęczone wioski i małe miasteczka
w krwawym, powolnym boju zdo-
bywane przez nasze oddziały.
Minęły i ustąpiły miejsca tak od-
miennej rzeczywistości, że trudno
w nią było uwierzyć.

Wówczas, w upalnym sierpniu,
30 kilometrów w dwa tygodnie
wydawało się nadzwyczaj szybkim
postępem — dziś oddziały prą
naprzód po 50 kilometrów na dobę!
Dzisiaj zamiast kurzu i na pół
rozwalonych, opuszczonych przez
mieszkańców domostw, widzimy
w północno-zachodniej Francji i
Belgii roześmiane twarze wita-
jącej ludności, tłumnie zgroma-
dzonej wzdłuż nietkniętych nie-
mal domów, rzucającej kwiaty i
owoce do wozów!

Wydaje się nam, że przeży-
wamy widziany rok temu film
z wkroczenia Aliantów do
Włoch południowych. Entuz-
jazm bezsprzecznie szczyry i
jak najgorętszy. Dziewczeta i
młode kobiety klaszczą w dłonie i
przesyłają pocałunki przejeżdżają-
cym żołnierzom. Mężczyźni z
roześmianymi twarzami witają
nas znakiem „V” lub salutują.
Entuzjazm maluje się na twarzach
nawet najbardziej sędziwych
staruszek, księża i zakonnice,
których szczególnie wiele widzimy
w Belgii, witają nas owacyjnie.

Setki mężczyzn i chłopców z
opaskami i ze zdobytymi na Niem-
cach karabinami patroluje ulice,
przeszukuje lasy i prowadzi co raz
liczniejsze zastępy jeńców. To
„Resistance Francaise” czy też
„Partisanen” belgijscy. Nie-
którzy z nich zdobyli samochody
lub motocykle. Również wielu
zandarmów przyłączyło się do
nich.

W jednym miasteczku na dzień
przed przyjściem Aliantów, „Re-
sistance” wraz z zandarmami
zaatakowała Niemców, biorąc ich
do niewoli. Na nieszczęście jakiś
oddział niemiecki przeszedł przez
miasteczko wieczorem i sześciu
bohaterskich Francuzów rozstrze-
lano natychmiast. Ze zgrozą opo-
wiadają nam o tym mieszkańcy,
gdy przejeżdżamy dnia nastę-
pnego. Również gwałtownie re-
kwirują uciekający Niemcy —
konie i rowery. Gospodarz fran-
cuski, który odmówił oddania
Niemcom swego konia, został
zastrzelony na pół godziny przed
przybyciem naszych czołgów.

Postępy nasze są tak szybkie,
że wielu Niemców pozostaje w
lasach w tyle i dopiero potem
dostaje się do niewoli. Gdy raz
przez pomyłkę w otwartym *jeepie*
zapuściliśmy się do czołowych
czołgów rozpoznawczych, usłyszeliśmy
gęstą strzelaninę w lasku za nami,
z boku drogi, a potem, wracając,
przejeżdżaliśmy obok palącego się

domu w miasteczku, gdzie było zu-
pełnie spokojnie, gdy jechaliśmy
przez nie do przodu. Okazało się,
że Niemcy ukryci w tym budynku,
zapalili go granatami.

Opór jest przeważnie słaby i
akcja przypomina do złudzenia
kampanię 1940 roku na zachodzie,
tylko że role się zmieniły. Tłumy
Niemców prowadzone co wieczora
do dowództwa Dywizji, ukazują
miejscowej ludności rzecz, która
ją oszołamia: oto niezwykła
rasa panów oddaje się masowo do
niewoli!

Narastają jednocześnie dla nas
cenne rezerwy z wielu Ślązaków,
Pomorzan i Wielkopolan przymu-
sowo wepchniętych do niemieckiej
armii na zachodzie, która prze-
stała istnieć.

Na każdym wozie wypisują nam
w miasteczkach: „F. . . libéré”,
„C. libéré”, „Vive la Pologne”,
itd. Tych napisów kreują mnogi
się co raz więcej. Wśród flag
alianckich powiewają flagi
polskie, okrzyki „Vive les
Polonais” są co raz częstsze. Az
wreszcie od paru dni ukazują się
na naszych wozach napisy w nie-
znanym nikomu z nas języku
flamandzkim: „Leve den Polen”
— Niech żyje Polska!

Żołnierz polski stanął na jeszcze
jednej ziemi i przyniósł wolność
jednemu jeszcze narodowi Europy.

HENRYK TYSZYŃSKI

Widocznie żołnierze niemieccy
nie są już zdolni do najwyższego
wysiłku, bo w Roulers dostały się
w ręce Polaków jeszcze znaczne
zapasy niemieckiej amunicji.

Jedno jest pewne:
Nareszcie, nareszcie bierzemy
odwet za Wrzesień!

A oto znowu przesłiczne Thilt,
zdobyte 8-go września przez jeden
z polskich pułków pancernych. Na
ulicy gra bardzo pokojowo miej-
scowa orkiestra dęta, chociaż sły-
chać jeszcze niedaleko odgłosy to-
czącej się walki. Ale Belgowie
czują się bezpieczni. Jedynie mer,
wprowadzony niedawno na swój ur-
ząd przez generała Maczka, czuje
się trochę rozżalony, że generał
odmawia gościny w jego domu
i nie chce spędzić nocy w specjal-
nie przygotowanym pokoju.

—Gdzie się pan generał tak
śpieszy?

—Na wojnę, na wojnę!
—A czy by tak nie można jedną
noc bez pana generała . . . ?

Zakonnice miejscowego, dużego
klasztoru otwierają bramy klasz-
torne. Po raz pierwszy chyba
w dziejach tych czcigodnych mur-
ów śpi polska wiara w zakonnych
celach. Mieszkańki klasztoru są
niezmiernie wzruszone. Stoją
z narezkami kwiatów przed bramą
i skromnie spuszczaając oczy,
powtarzają ciągle:

—Merci! Merci!

—Panowie — przestrzega jakiś
oficer. — Proszę tylko pamiętać, że
to nie Saragossa!

Tak, pięknie jest w Thilt. Szko-
da tylko, że nowoczesna wojna nie
zna długich postojów.

Cóż to za piekielna kanonada?
Co za błyski na niebie?

To polski pułk pancerny uderza
na Ruysselede, zamykając drogę
odrotu kolumnie niemieckiej.

Stłoczeni w ciasnych uliczkach
miasteczka Niemcy nie spodziewa-
li się nagle, nocnego uderzenia.
Nasze czołgi runęły jak huragan.
Stalowym pierścieniem zamknęły
miasto i wdary się w ulice, miażd-
żąc stanowiska obronne i stojące
w miasteczku wozy i samochody
niemieckiej kolumny. Było to
kompletne zaskoczenie. Wielu
Niemców nie zdołało chwycić za
broń, gdy dosięgły ich polskie po-
ciski.

Czołgi szły przez wszystko, zie-
jąc ogniem. Była to naprawdę pie-
kielna noc w małym miasteczku.
Bezludna strzelanina Niemców,
płonące domy, oszalałe ze strachu
konie z taborów, wybuchy paci-
sków.

Dopiero rano, w sobotę 9-go
września, oglądając pobojowisko,
zdałem sobie dokładnie sprawę
z potęgi i skutków tego natarcia.
Trupy ludzkie, setki rozbitych wo-
zów, krwawe kadłuby koni, swąd
spalenizny, amunicją, porzuconą
broń, helmy, krew na ulicach —
wszystko to razem składało się na
widok potworny w swojej grozie.

Nawet generał Maczek spotka-
wszy w Ruysselede dowódcę Bry-
gady Panczernej, pokławił głową:
—To wygląda jak rzeźnia! —
powiedział.

A siedzący przy generale puł-
kownik Mitchell, członek Parla-
mentu, zdobył się tylko na dwa sło-
wa:

—Well done!
Tak, to była dobra robota.
Twarda, bezwzględna, żołnierska.
Drobna cząsteczka odpłaty z dużej
księgi naszych rozrachunków
z Niemcami.

—Well done!
RYSZARD KIERSNOWSKI

Kolumna polskich karierów przekraczająca granicę francusko-belgijską; z boku z prawej samochód sanitarny i jeep /bez korespondenta wojennego . . . /



Sprawy polskie w książkach angielskich

CHESTERTON A POLSKA

Niedawno ukazała się obszerna książka o Chestertonie pobra Maisie Ward. * Omawia ona m. in. pamiętną wizytę znakomitego pisarza w Polsce w r. 1927 na zaproszenie warszawskiego P.E.N. Clubu. Podróż odbył Chesterton w towarzystwie swej żony Frances i sekretarki Dorothy Collins: "okazano tu niezmierny entuzjazm dla człowieka, który ustawnie podnosił wielkość Polski i jej prawdziwe miejsce w Europie."

Chesterton zawsze pragnął napisać książkę o Polsce. Uważał, że Anglicy i Polacy mają wiele cech wspólnych, ale Anglicy nigdy nie miał sposobności zrozumienia Polaka. "Nonsensy dzienników, kiedy prawią one o tym co nazywają polskim korytarzem — mówił Chesterton — wynikają z nieznaności przedmiotów dziejów Polski." Poza tym Anglicy nie zdają sobie sprawy, że Polacy zawsze muszą wybierać "pomiędzy dwojgiem złego /the Poles always have a choice of evils/". Pilsudski powiedział Chestertonowi, że z dwojga złego woli Niemcy, a Dmowski reprezentował bardziej powszechną opinię, że z dwojga złego lepsza jest Rosja. Tak czy inaczej, Polska — będąc panią swoich losów — przeżywała chwile niezwykłego szczęścia. Odrodzenie rolniczego kraju postępowo "zdumiewająco szybko". Licznym posiadaczom chłopskim dobrze się powodziło na 7-hektarowych gospodarstwach, a nawet robotnicy rolni mieli własne kawałki ziemi i jedną lub dwie krowy.

W liście do matki, pani Chesterton skarży się nieco na obfitość obiadu wydanego przez P.E.N. Club, ale podkreśla, że "mowy były zdumiewająco doskonałe /perfectly marvellous/, wygłoszone całkiem potoczna angielszczyzną i bardzo dowcipne, przy czym ujawniała tak dokładną znajomość dzieł Gilberta, jakiej nie posiada żaden z moich znajomych Anglików".

Chesterton wiele rzeczy widział w Polsce, ale najbardziej utkwił mu w pamięci epizod następujący. Pewien młody ziemianin opowiedział pisarzowi, że wprawdzie jego dom w ogniu walk został zniszczony przez żołnierzy bolszewickich, jednak żywi on do nich żal tylko za jedną rzecz: "... Zaprowadził nas długą aleją topolową do posągu Matki Boskiej; miała odstrzelone głowę i ręce. Ale ręce były podniesione do góry; i jest rzeczą dziwną, że wydawało się, iż to okaleczenie nadaje większy sens postawie wstawiennictwa; prośbie o litość dla bezlitosnej rasy ludzkiej".

Sympatie Chestertonu dla Polski ujawniały się w całej jego działalności publicystycznej. Ujawniały się szczególnie w okresie prac nad traktatem wersalskim. Stanowisko swoje określał Chesterton jasno w liście otwartym do Rufusa Isaacs'a /"New Witness" z dn. 13 grudnia 1918 r./, który jako delegat brytyjski miał towarzyszyć Lloyd George'owi na konferencję pokojową. Z Isaacsem zmierzył się już raz Chesterton, kiedy to organ jego brata, Cecilia, pierwszy ujawnił aferę Marconiego, do której Rufus — podówczas prokurator naczelny, w okresie wojny prezes sądu najwyższego, potem wicekról Indji — przez nabycie akcji tego towarzystwa był zamieszany.

Mianowanie Isaacs'a delegatem na konferencję pokojową — pisze biografka Chestertonu — oznaczało niebezpieczeństwo dla Polski, łączyło się bowiem z dążeniem międzynarodowej finansjery do podtrzymania Niemiec. Zastanawiając się, w jaki sposób mogło się stać, że Rufus Isaacs, "zbiłkany makler giełdowy", mógł narzucić angielskiemu narodowi siebie jako najwyższego lorda sprawiedliwości, pisze Chesterton, iż nie chodzi o to, "do jakiego stopnia Pan się nam nie podoba, ale do jakiego stopnia Pan się nam podoba: albo-czy też podoba się nam Pan bardziej niż Anglia, bardziej niż Europa, bardziej niż honor, bardziej niż wolność, bardziej niż fakty". Zagadnienie, czy Anglia przegra wojnę już

wygraną, wiąże się ściśle z zaspokojeniem narodowych żądań Polski. "Czy znajdzie się kto, kto ma wątpliwość, że międzynarodówka żydowska nie sympatyzuje z wszystkimi dążeniami narodowymi Polski? I czy znajdzie się kto, kto ma wątpliwość, że Pan będzie sympatyzował z międzynarodówką żydowską?" Petycja goryczy, sarkazmu i zjadliwości list kończy się wezwaniem: "Danielu, synu Izaaka, odejdz w pokój, ale odejdz."

W tym czasie żona brata Chestertonu, Cecilia, który padł na polu chwały, odwiedziła Polskę i w szeregu reportaży ukazała walkę Polaków o życie i wolność. W "New Witness" pojawiają się artykuły publicystów polskich. W redakcji tego pisma — dodaje Maisie Ward — nie było na pewno nikogo, kto był takim ignoransem, jak Lloyd George, który nie wiedział, gdzie znajduje się Cieszyn. Na tym zresztą polegała tragedia Wersalu. Reprezentanci Ameryki i Anglii nie orientowali się należycie w stosunkach europejskich. Nawet Wilson był doktrynerem, który przekładał mętne koncepcje Ligi Narodów nad rzeczywiste narody, jak Polska czy Włochy. "New Witness" powtarza ustawicznie, że tylko od jednej rzeczy zależy pokój w Europie: od usunięcia Prus z ich przodowniczego stanowiska w Rzeszy — Polska, Włochy i Francja muszą być silne.

Niestety, "zarówno Lloyd George jak Wilson byli zbyt antykatolicko nastawieni, aby sympatyzować z katolicką Polską /jeśli chodzi o Lloyd George'a, trzeba mówić o nienawiści do Polski/"; Lloyd George działał "wściekle /savagely/" przeciw przyszłej Polsce. Belloc przepowiadał, że z pokoju wersalskiego zrodzi się wiele wojen. Wprawdzie Czesi dostali wszystko czego chcieli, d'Annunzio zaś zdobył dla Włoch Fiume — ale Polska nie osiągnęła swoich celów. Zawierzyła ona sprzymierzeńcom i czekała na wyniki konferencji pokojowej — w tym właśnie czasie Niemcy prześladowali i wypędzali Polaków z Prus Wschodnich. "Lloyd George i Churchill — pisze dalej autorka — wysłał korpus ekspedycyjny do Archangielska na pomoc "białym" Rosjanom, ale gdy bolszewicy najechali Polskę, nie udzielono jej poparcia. Podobnie

szprymierzeni nie zaopatrzyli Polski w przyrzeczone jej surowce, potrzebne do odbudowy życia gospodarczego. Nasze pisma ustawicznie donosiły o pogromach w Polsce. W rzeczywistości dokładne badania, przeprowadzone przez pisarzy z "New Witness", nie mogły wykryć żadnych pogromów w miastach, których nazwy podawano."

W kwietniu 1919 r. Chesterton w mocnych słowach przepowiadał, jaka przyszłość czeka Europę, jeżeli odmówi się Polsce prawa do siły. Zachodowi grozi zemsta Niemiec i anarchia Rosji: jeżeli po naszej stronie nie znajdzie się chrześcijański i rycerski puklerz, jakim jest Polska, "będziemy mieli na karku pół Europy i być może, pół Azji." Jeżeli Polacy uzyskają Gdańsk i bezpieczną linię komunikacyjną z Zachodem, będą skrzyżem do udzielenia temu Zachodowi pomocy. Jeżeli Gdańsk nie uzyskają, nie będą mieli powodu i możliwości udzielenia tej pomocy ani Zachodowi ani komukolwiek. Chesterton dodaje, że polski port jest jedynym miejscem na całym świecie, które powinno być utrzymane, i to właśnie miejsce zostanie poddane. Machinacje antypolskie przypisywał pisarz międzynarodowej finansjery, twierdząc, że prawdziwie angielska opinia publiczna nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwa Anglia dochodziła do głosu na polach bitwy: dzięki przelanej krwi angielskiej krzyż zastąpił półksiężyce w Jeruzolimie, Alzacja i Lotaryngia wróciła do Francji a Polska zmartwychwstała.

Chesterton przypomina, że Polacy powstawali raz po raz, kilkadziesiąt kolosalnych mocarstw nie chciały dopuścić, aby stali się oni narodem. Zdrowy rozsądek nie pozwala przypuszczać, że jeżeli uczyni się ich półnarodem, nie będą pewnego dnia próbowali stać się całym narodem. "Ale wtedy wrócimy tam skądśmy wyszli, po nowym okresie terroru i udreki i ohydnych jatek, wrócimy tam gdzie moglibyśmy — w pokój i całkowicie bezpieczni — stać mocno dzisiaj."

O LOTNICTWIE POLSKIM

W t. II szczegółowo opracowanego dzieła kpt. Normana Macmillan o lotnictwie brytyjskim w okresie drugiej wojny światowej,

znajdujemy szereg wzmianek o lotnictwie polskim.

Kpt. Macmillan podnosi, że z całą potęgą "Luftwaffe" zmierzono się w wrześniu 1939 r. 370 samolotów polskich pierwszej linii. W najeździe na Polskę wzięło udział 10 pancernych i 6 zmechanizowanych dywizji, podczas gdy Polska — będąca w toku prac nad zmniejszeniem swej armii — rozporządzała 1 brygadą pancerną i 1 zmechanizowaną.

Ale ci Polacy, którzy nie dostali się w ręce niemieckie, stanęli — pod Sikorskim — w r. 1940 u boku Anglii. Dn. 20 sierpnia 1940 r. wieczorem dywizjon 302 po raz pierwszy wszedł do akcji. Dowództwo dywizjonu sprawował Brytyjczyk, piloci rekrutowali się z Polaków. "Była to pierwsza całkowicie niebrytyjska jednostka sił powietrznych zjednoczonych narodów, której przypadło zagrozić nad potęgą "osi" w powietrzu." Za zadanie miała spatrołowanie północno-wschodniego wybrzeża. Stracono wówczas "Junkersa 88", przy czym trzech członków załogi dostało się do niewoli.

W dziesięć dni później drugi dywizjon polski R.A.F.u /303/ zestrzelił pierwszego Niemca. Autor przypomina tradycje tego dywizjonu, sformowanego w r. 1919 w celu przyścia z pomocą Polakom walczącym z bolszewikami. Nosił on wówczas nazwę dywizjonu "Kościszki". We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy. Potem lotnicy dywizjonu opuścili Polskę i walczyli — rozproszeni — we Francji. W czerwcu 1940 r. znaleźli się w Anglii. Tu dywizjon sformowano na nowo, a doświadczenie kampanii wrześniowej i świetna taktyka bojowa umożliwiły mu odegranie wielkiej roli w bitwie o Wielką Brytanię. Pierwszym dowódcą dywizjonu był R. G. Kellett; za zasługi w bitwie nad Wielką Brytanią otrzymał "Virtuti Militari", D.S.O., i D.F.C. Później dywizjon uzyskał całkowicie polskie dowództwo. Był to pierwszy dywizjon obcy wyekwirowany w "Spitfire'y".

Dn. 30 sierpnia pilot polski z dywizjonu 303 zestrzelił pierwszego "Dorniera". Następnego dnia sześciu pilotów polskich zestrzeliło sześć "Messerschmittów", nie ponosząc żadnej straty. W czasie bitwy o Wielką Brytanię dywizjon zestrzelił 120 samolotów nieprzyjacielskich. Do końca r. 1942 polscy piloci zestrzelili 501 maszyn.

Jedna siódma wszystkich straconych w czasie bitwy o Wielką Brytanię samolotów niemieckich przypadała dywizjonom 303 i 302 oraz lotnikom polskim walczącym w dywizjonach niepolkich. "Jest to osiągnięcie — pisze kpt. Macmillan — istotnie szczególne /remarkable/; będzie ono zapisane w historii Polski i przejdzie do nieśmiertelności."

FRANCUZ O POLSKICH JEŃCACH WOJENNYCH

Autor książki "A Prisoner in Germany,"* występujący pod pseudonimem Roberta Guerlain, w czasie swojej niewoli w Niemczech miał sposobność zetknięcia się z jeńcami polskimi. Pisze o nich w słowach najwyższej życzliwości i uznania. Postawa jeńców polskich uodporniła Francuzów, którzy katastrofę roku 1940 przeżyli niezwykle tragicznie. Pierwsze spotkanie z żołnierzami polskimi w Trewirze "pokazało nam, że można być jeńcem, nie będąc jednocześnie podbitym, i że możemy podlegać Niemcom, nie dopuszczając ich do górowania nad nami. Polacy pokazali nam również, że Francja, aczkolwiek pobita, zawsze pozostanie źródłem nadziei dla innych narodów europejskich. Wiara ich w nasz kraj, przyjazna postawa, pokrzepiła nas nieco na duchu."

Także w rozmowach jeńców w obozie, optymizm Polaków dodaje wszystkim otuchy. Nauczyciel nazwiskiem Vigny, piętnując politykę Pétaina, mówi: "Czy Polacy czolgają się przed Niemcami? Czy od samego początku, choć przez jedną chwilę ukrywali przed Niemcami swoje przekonanie, że pewnego dnia warunki się odwrócą i że odzyskają to co utracili? A widzieliście, jakie nowiny otrzymują z domu! Prowadzą dalej wojnę; nikt im nie pomaga, a oni się nie poddają, bo wiedzą, że poddanie się nie wyszło by im na dobre, lecz tylko przedłuży wojnę. ... Szwaby nie znalazły Laval'a ani w Belgii, ani w Holandii, a już na pewno nie znajdują w Polsce."

Baraki polskich jeńców odznaczały się "niemal prowokującą czystością /almost aggressive neatness/, ożywiały je duch dobrowolnej dyscypliny; było w tym wyzwanie rzucone Niemcom a jednocześnie dążność do utrzymania poczucia godności. W barakach tych "salutowano podoficerów i śpiewano melancholijne pieśni; jak w domach prywatnych, nie wolno było wchodzić w czapkę."

Guerlain mówi obszernie o transporcie trzystu kobiet wywiezionych z Polski, a trzymany w izolowanym baraku w drodze na miejsce przeznaczenia. Zostały one porwane na chybił trafił z małego miasteczka w czasie niedzieli wielkanocnej; reprezentowały wszystkie klasy społeczne; znajdowały się wśród nich dwunastoletnie dziewczynki. Przybyły w stanie godnym litości, w śmiertelnym strachu. Pulkownika-lekarka /u Guerlaina nazywa się Kluge/, człowieka przyzwoitego, który miał poddać kobiety oględzinom, poinformowano, że z własnej woli zgłosiły się one na roboty w Niemczech. Od jednej z "ochotniczek", żony wysokiego urzędnika polskiego, pulkownik dowiedział się całej prawdy. W pierwszej chwili był tak oszołomiony, że nie mógł wypowiedzieć słowa. "Potem nagle wybuchnął w obecności lekarzy — Francuzów i kobiet — Polek. "Schweimerei!" — zagrzmiał. — Hańba i wstyd. I oni mówią, że przynoszą kulturę do okupowanych krajów!" Kluge powierzył dalsze badania lekarzom francuskim i udał się do komendanta obozu. Lekarze francuscy zorganizowali wśród jeńców zbiorckę żywności dla głodujących kobiet, a Kluge własnym samochodem przewiózł je do kobiecego baraku.

SCRUTATOR

*"The Royal Air Force in the World War." By Captain Norman Macmillan, M.C.A.F.C., author of "Into the Blue," "The Chosen Instrument," "Air Strategy." Volume II. May, 1940—May, 1941. The Battles of Holland, Belgium, France, Britain, London, George G. Harrap, 1944; str. 351 i 1nl. i tabl. 8.

"A Prisoner in Germany." A Robert Guerlain. London, Macmillan, 1944; str. VIII i 2nl. i 161 i 1nl.

IV. rocznica "Bitwy o W. Brytanię"

Winston Churchill powiedział u schyłku "Bitwy o W. Brytanię" w roku 1940, że "nigdy jeszcze w dziejach wojen tak wielu ludzi nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym". Ci nieliczni, to lotnicy brytyjscy i polscy. Przede wszystkim — lotnicy myśliwcy, którzy odparli ataki lotnictwa niemieckiego, o wiele wówczas potężniejszego, niż brytyjskie.

Przebieg tej bitwy jest zbyt dobrze znany, by powtarzać wszystkie jego szczegóły. Ograniczam się zatem do przytoczenia danych o lotnikach polskich; danych, które bądź dopiero teraz można ogłosić, bądź też takich, które nie każdy pamięta.

Jakkolwiek za dzień rozpoczęcia Bitwy o W. Brytanię przyjęto 8 sierpnia roku 1940, to jednak niemieckie działania lotnicze przeciw Anglii rozpoczęły się dużo wcześniej. Dużo wcześniej także piloci polscy wzięli udział w walkach przeciw Niemcom nad W. Brytanią.

Pierwsze zwycięstwo w tych walkach odniósł porucznik pilot A. Ostowicz, przydzielony do dy-

wizjonu brytyjskiego. Zestrzelił on "Heinkla 111" w dniu 19 lipca r. 1940.

Inni piloci polscy przydzieleni do dywizjonów brytyjskich, a między nimi płk. Urbanowicz, późniejszy dowódca Dywizjonu 303 — w dniu 8 sierpnia zestrzelił sześć maszyn niemieckich. W ciągu następnego tygodnia ci piloci zestrzeliłi jeszcze trzydziestu sześciu Niemców.

Pierwsze zwycięstwa pilotów należących do dywizjonów polskich przypadają na 21 sierpnia — porucznika Chałupy z dywizjonu Poznańskiego, i 30 sierpnia — porucznika Paszkiewicz'a z Dywizjonu 303.

Zaraz nazajutrz, 31 sierpnia roku 1940, Dywizjon 303 osiąga jeszcze pięć zwycięstw, a w wrześniu zdobywa rekord zestrzeleń wśród wszystkich dywizjonów polskich i brytyjskich. W jednym tylko dniu, 27 września 1940 r., dywizjon ten odniósł osiemnaście zwycięstw powietrznych.

Ogółem we wrześniu piloci polscy zestrzeliłi 152 na ogólną ilość 962 samolotów niemieckich zestrzelonych nad Anglią.

Bitwa o W. Brytanię skończyła się w dniu 31 października roku 1940 zwycięstwem lotnictwa brytyjskiego i polskiego. Polacy zestrzeliłi w czasie jej trwania 203 samoloty niemieckie na pewno, 33 prawdopodobnie i uszkodzili ponadto jeszcze 35. Liczyły te stano- wiały w sumie około 14% wszystkich maszyn, które Niemcy stracili w tej bitwie. Jest to procent obrzydliwy w stosunku do ówczesnych sił lotnictwa polskiego.

Dziś, gdy patrzymy w historii "Bitwy o W. Brytanię" z perspektywy lat czterech, widać jak wielkie miała ona znaczenie, nie tylko jako zwycięska obrona ostatniej twierdzy wolności w Europie, lecz również jako pierwszy cios zadany lotnictwu niemieckiemu; cios, który zaważył na działaniach późniejszych i wpłynął na ostateczne uzyskanie moralnej i materialnej przewagi powietrznej Sprzymierzonych nad Niemcami. Udział lotnictwa polskiego w uzyskaniu tej przewagi jest równie wspaniały, jak w "Bitwie o W. Brytanię".

PORUCZNIK HERBERT

KOMUNIKAT

Ministerstwo Odbudowy Administracji Publicznej zamierza w miesiącu listopadzie br. zorganizować w Londynie 3-miesięczny kurs administracji okupacyjnej dla średnich urzędników administracji ogólnej i sekretarzy sądowych.

Kandydaci na kurs powinni mieć: a/ ukończone gimnazjum nowego typu lub wykształcenie równorzędne, b/ posiadać znajomość języka niemieckiego, c/ zobowiązać się, że przez dwa lata od chwili ukończenia wojny pozostaną w służbie okupacyjnej do dyspozycji M.O.A.P.

Osoby, które pracowały już w administracji państwowej lub samo-

ządowej mogą być w wypadkach zastępowanych na uwzględnienie zwolnione od wymaganego cenzusu.

Kandydaci, pragnący wziąć udział w powyższym kursie, zechcą zgłosić się osobiście w Ministerstwie Odbudowy Admin. Publicznej, Dział Okupacyjny, Referat Administracji Ogólnej, 12/18 Grafton Street, London, W.1 lub przesać pocztą w terminie do dnia 25 września br. krótkie podanie, wraz z życiorysem oraz zobowiązaniem, o którym mowa w ustępie drugim lit.c/.

KOMUNIKAT
ZRZESZENIA EWANGELIKÓW
POLAKÓW
Zarząd Zrzeszenia, zając sobie

sprawę, że jeszcze duża ilość Ewangelików Polaków znajduje się poza jego szeregami, zwraca się niniejszym do wszystkich Ewangelików Polaków z prośbą o łaskawe podawanie swych adresów i zapisywanie się na członków Zrzeszenia.

Równocześnie upraszamy wszystkich Ewangelików Polaków, leżących w szpitalach, tak polskich jak też i angielskich, ażeby podawali nam miejsca swego pobytu, ponieważ chcielibyśmy zorganizować akcje odwiedzania ich i niesienia im pomocy religijnej.

Wszelką korespondencję prosimy kierować pod adresem Sekretariatu: 493, Oxford Street, Londón, W.1.

*"Gilbert Keith Chesterton," by Maisie Ward. With thirteen illustrations. London, Sheed and Ward, 1944; str. VI i 2nl. i tabl. 8.

DLA POLAKÓW W ROSJI
Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie RAF Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu lipcu i sierpniu 1944 r. kwotę £5 sh.9.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,
Enclosed please find M.O. for £10 which the children of the qualifying class of Dennyloan Head School, Stirlingshire, send, that it may be used in whatever way is advisable for the Polish children. We send with it much love and sympathy and a deep interest in your country, and hope that one day very soon the silver lining may shine again in the sky for Poland and her people.
We are, with all good wishes,
Yours most sincerely,
The pupils of Primary V., and C. E. Laing /Mrs./

I have much pleasure in asking you to accept this sum of £10 /ten pounds/ as a further contribution from Scottish-Polish Society, Pittenweem, towards the Polish Children's Rescue Fund.
I shall be glad to have a copy of the paper in which you insert this donation.

Yours truly,
Georgina Hughes
/convener/.

Not accepted by Lulu sh. 5.

NA P.C.K.

Przy niniejszym załączam 10sh. /dziesięć szylingów/ złożonych przez nowoprzybyłego do obozu żołnierza strz. P.J. w redakcji obozowej "Nowin," z przeznaczeniem na Polski Czerwony Krzyż.
D-ca Czołówki Opieki n.Zotm.
Sz. Jan ppor.

Na pomoc Warszawie

Z okazji obchodu urodzin p. Ady Hilton, zamieszkałej 27, York Str., Blackpool, przekazuję £1 /jeden funt/ na pomoc dla więzionych w obozie w Pruszkowie.
Wincenty Szajda.

Przesyłam Postal Orders na kwotę £2 19sh. 8½d. pozostałość po zamknięciu rachunku stołowni ofic. Kursu Unitarnego St. Zaop. i Transp. i proszę o przekazanie tej kwoty na Pomoc dla Ludności m. Warszawy.
F.N. kpt.

Załączam czek na sumę £5 — z prośbą o przekazanie go na fundusz pomocy Warszawie.
S.M.

Uzyskany rabat w sumie 18sh. 8d. z rozsprzedaży na terenie Dywizjonu

Ziemi Czerwieńskiej w miesiącu sierpniu Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza, Polski Walczącej oraz Skrzydeł, przekazuję Postal Orderem na pomoc Warszawie.
M.Z.

W załączeniu przesyłam M.O. na £3 sh.6 d.5 złożone przez szeregowych plutonu Obsługi K-dy C.W. Piech. na pomoc Warszawie.
ppor A. St.

Przesyłam w załączeniu M.O. na kwotę £3 sh.1 d.4 /£3 trzy sh.1 d.4/ jako datkę strzelca spad. Juliana Sim. na "Pomoc dla Warszawy."
Pchor. E.P.

Przesyłam £1 na pomoc Warszawie.
Z. Cwiklińska.

W załączeniu przesyłam przekaz na £10 /dziesięć funtów, które złożył na pomoc Warszawie plut. Sp. Józef. Le. Zbigniew, ppor.

Prosimy o bezimienne przekazanie naszego zółdu w wysokości £4 na pomoc obrońcom Warszawy.
Dwóch z Dywizjonu Warszawskiego.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze L. 31.6.1 1/2 /słownie trzydziści jeden funtów sześć szyl. 1 1/2d/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do L. 248.13.11 /słownie: dwieście czterdzieści osiem funtów trzynaście szyl. 11d/.

NA "PACZKI OD SERCA"
Przesyłam w załączeniu P.O. na kwotę sh.10 /dziesięć szyl/ jako datkę starszego strzelca spad. Piotra Jad. i 3 kolegów, na "Paczki od serca."
pchor. Emil P.

Załączam p.o. na sh.10 na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech — od 3. drużyny Komp. szk. C.O.W. Szturm.

Messa Oficerska Polish Naval Depot B. na polskich jeńców wojennych £2 sh.16.
Ks.J.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH

14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY
Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam postal order na sh.3 z przeznaczeniem na Fundusz dla Wdów i Sierót po poległych żołnierzach b.14 Wlkp. D.P.
Roman K.
z b. 14. P.A.L.'u

W załączeniu przesyłam P.O. na sh.4 z przeznaczeniem na Fundusz dla Wdów i Sierót po poległych żołnierzach b. 14 Wlkp. D.P. wzywając tą drogą do złożenia pewnej kwoty na powyższy fundusz p. Romka Now., p. Stawarskiego /z.b. 57 pp/ i p. Dewersa /z ppanc b.57 pp/ oraz p. dr M. Win. /b. Nacz Red. Dziennika Poznańskiego/.
Witek
z b. 58 pp.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Przesyłając sh.5 na Szpital im. Gen. Sikorskiego jednocześnie zapraszam do łańcucha składek Strzeleckiego Jana, Famulskiego Ewalda i Chordeja Antoniego.
Franciszek Strauch.

NALEŻNOŚCI ŻOŁNIERZY RANNYCH W SZPITALACH BRYTYJSKICH

Ranni żołnierze /oficerowie, podoficerowie i szeregowi/ z 1. Dywizji Panczernej — należą pod względem gospodarczym do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dywizji Panczernej /Polish Forces P/5/.

Według zarządzeń Ministra Obrony Narodowej nazwiska rannych żołnierzy przesyła Szef Służby Zdrowia do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. Dowódca Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. wysyła do poszczególnych szpitali oficerów celem uzyskania od rannych oświadczeń co do należności i poinformowania ich w sprawie odszkodowań za straty poniesione w akcji bojowej oraz wymiany walut obcych.
Podoficerowie i szeregowcy w/g umowy polsko-brytyjskiej otrzymują od władz brytyjskich w czasie pobytu w szpitalach brytyjskich zaliczki — w poczet swego zółdu tygodniowo:

a/ chorążym — sh.15
b/ st. sierżant i sierżant — sh.12
c/ szereg. do plutonowego włącznie sh.10.

Oficerowie należności swoje otrzymują zasadniczo z Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panczernej — do czasu ujęcia ich w stan gospodarczy tej kadry, władze szpitali brytyjskich wypłacają im w/g zarządzenia War Office na poczet ich należności po £2.10.0 tygodniowo.
Wyrównanie wszelkich zaległych należności przeprowadza Kadra O-

środku Zapasowego 1. Dyw. Panc. po wyjściu żołnierza ze szpitala. Wypłata dodatków rodzinnym rannych żołnierzy nie ulega zupełnie przerwie za czas pobytu żołnierzy w szpitalach. O ile rodziny przebywają na terenie W. Brytanii dodatki te wypłaca obecnie Biuro Wypłat Należności Rodzinnych — Polish Forces P/65.

Wszelkie życzenia natury gospodarczej żołnierze kierować mogą kartką pocztową do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. Polish Forces P/5. Wszelkie życzenia w zakresie spraw kulturalno-oświatowych należy kierować bezpośrednio do Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N. /London, S.W.1, Vandon Street, Vandon House/.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...



— Niech pan, panie generale, się nie śmieje, lecz pańska dywizja musi wycofać z frontu!
— Dlaczego??
— Regulamin mówi, że szybkość czołgów nie może przekraczać 20 mil na godzinę ...

ZMARTWIENIE STRZELCA W LONDYNIE

— A niech licha weźmie ten pomysł ze zniesieniem blackoutu. Teraz i w nocy człowiek będzie musiał salutować! ...

"PROJEKTODAWCA"
— Wie pan, że oddziały Maczka będą nosiły oprócz czarnego naramiennika, jeszcze naramiennik z worka!
— Co pan też plecie!
— No tak, na pamiętkę zaszyca worka w Normandii ...

POLSKA W OCZACH ROMANTYKÓW ANGIELSKICH ...



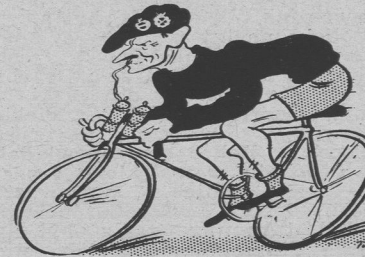
Będziecie od morza do morza! ...

PRAKTYCZNE POLKI
— W przyszłym tygodniu daję sobie uszyć wieczorową suknię!
— Ma pani kupony?
— Nie, tylko noszę black-out, więc zrobię sobie suknię z kotary ...

W PEWNYM HOTELU
— Zobaczy Pan, co z nami zrobili. Już rozwiązali Home Guard, teraz przyjdzie kolej na nas ...

W KOŁACH LONDYŃSKICH
— Wie pan, może i lepiej, że Anglicy znoszą black-out. Może nasze sprawy jakoś się wyjaśnią ...

MISTRZ "TOUR DE FRANCE"



RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE

Zagadki:
1. W miarę jak dnie stają się cieplejsze pewna pnąca roślina podwaja codziennie swój wzrost. W ciągu 20 dni wyrasta na wysokość 10 metrów. Jak długo trwało nim wyrosła na wysokość 5 metrów?
2. Trzech przyjaciół poszło razem na obiad. Rachunek wynosił 30 szylingów. Wobec tego każdy z nich wręczył kelnerowi po 10 szylingów. Właściciel restauracji zauważył jednak, że przez pomyłkę policzył o 5 szylingów za dużo, a że był Anglikiem zwrócił te 5 szylingów naszym trzem przyjaciołom. Każdy z nich wziął po szylingu a 2 szylingi dali napiwku. Gdy wyszli poczęli się zastanawiać nad rachunkiem. Każdy z nich zapłacił po 9 szylingów /10 szylingów minus 1, który otrzymali z powrotem/ a 2 szylingi dali kelnerowi. Jednak 3 x 9 + 2 = 29 Co się stało z 1 szylingiem?
(Odpowiedzi na końcu kącika)

W sztuce J. B. Priestleya p.t.

Z DWOJGA ZŁEGO ...
W obawie przed latającymi bombami rodzice wysłali małego Stasia z Londynu do znajomej szkockiej rodziny. Po trzech dniach chłopiec wrócił do rodziców. Przywiózł też list:
— "Odsyłamy synalka, wolimy już latającą bombę" ...

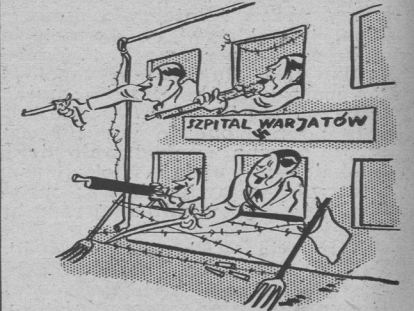
OSTROŻNY BLACK-OUTOWIEC

— Pan będzie dalej zaciemniał okna?
— Naturalnie! Nie mam ochoty, ażeby każdy widział, ile mam waliz ...

WSRÓD URZĘDNIKÓW MINISTERSTWA

— Czemu to pan kolega taki smutny?
— Urywają mi boczne dochody. Znoszą instytucję "fire-watcherów". Zawsze odpada 5 szylingów! ...

Z ZAPOWIEDZI HITLERA ...



"Każdy dom będzie dla nas fortecą" ...

Tekst i rysunki: TONY

RANNI ŻOŁNIERZE
pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

SPIS RZECZY:

Edmund Oppman: "Tu bije serce Polski ..." — Triarius: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z walk polskiej armii podziemnej /Oryginalne reportaże nadesłane z Kraju: Zik-Jas.: "Panienska." Ark-Jas.: Szturm na strażnicę. — Bolesław Pomian: Ocean — pustynia — dżungla /Część I.: Ocean. — Ryszard Kiersnowski: Za wolność Belgii /Korespondencja własna "Polski Walczącej." — Henryk Tyszyński: "Leve den Polen" /Korespondencja własna "Polski Walczącej." — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Porucznik Herbert: IV. rocznica bitwy o Wielką Brytanie. — Na pomoc Warszawie. — Na "paczki od serca." — Na Polaków w Rosji. — Na "Polish Children Rescue Fund." — Na wdowy i sieroty po poległych żołnierzach b. 14. Wlkp. D.P. — Tony: Werinajsek. — Fotografie. — Rysunek Jaminy Konarskiej.

Doskonaly prezent dla Brytyjczyków!

Ukazało się tłumaczenie książki
"Źdło Genowefy"
POR. HERBERTA
p. t.

"G — FOR GENEVIEVE"

z ilustracjami. Cena 11/6

SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8, HOPE STREET, EDINBURGH

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Nowość!

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI

SWASTYKA NAD WARSZAWĄ
powieść

Cena 10/6

SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8, HOPE STREET, EDINBURGH

Nowość!

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!

Increased my own height to 6ft. 3ins.
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyde, London, W.C.1

